

RODZINA

TYGODNIK

KATOLICKI

NR 19 (357). ROK VIII. WARSZAWA, 7.V. 1967. CENA ZŁ 2.





W niedzielę, dnia 26 lutego 1967 roku, w parafii p. w. M. Boskiej Nieustającej Pomocy w Poznaniu, przy ul. Kościuszki 90, odbył się jubileusz 50-lecia pożycia małżeńskiego państwa Rozalii i Justyna Kowszynów.

Uroczystą sumę odprawił i kazanie okolicznościowe wygłosił proboszcz parafii ks. Roman Skrzypczak.

Na zdjęciu u góry: ks. Roman Skrzypczak i jubilaci. Na zdjęciu z prawej: przyjaciele i znajomi przybyli licznie na „Złote gody”.



ZGROMADZENIE DIECEZJALNE

W dn. 19 lutego br. odbyło się w Olsztynie doroczne Zgromadzenie Diecezjalne diecezji mazurskiej Kościoła Ewangelicko-augsburskiego. Zgromadzenie poprzedziło nabożeństwo, które odprawił ks. L. Steinhagen. Obrady rozpoczęły się referatem ks. T. Bruella z Cieszyna pt. „Urząd i praca prezbitera (radnego) w świetle Biblii i Małego Katechizmu”.

Sprawozdania ze swej działalności złożyli: duszpasterz ewangelicko-misyjny (ks. L. Steinhagen), duszpasterz młodzieżowy (ks. J. Otello), kierownik Domu Opieki dla Dorosłych w Sorkwytach (ks. W. Firla), senior diecezji ks. prob. P. Kubiczek.

W dyskusji nad sprawozdaniem podkreślono znaczne ożywienie pracy ewangelizacyjno-mi-

syjnej. W celu rozwinięcia pracy młodzieżowej powołano Komisję do spraw młodzieży, w której skład weszli: ks. Krzywoń i ks. Schmidt oraz p. K. Kompa. Komisja dokooptuje 3 członków świeckich spośród młodzieży. Będzie ona ściśle pracowała z duszpasterzem młodzieżowym. Sprawozdanie kierownika Domu Opieki dla Dorosłych tchnęło optymizmem na przyszłość, wzrosła bowiem ofiarność wiernych na cel opieki nad starcami. W minionym roku parafie diecezji mazurskiej złożyły ponad 20.000 zł na Dom Opieki w Sorkwytach. Zwrócono uwagę na to, aby jak najdłużej utrzymać jedyny na Mazurach Dom Opieki dla Dorosłych, w którym podopieczni mogą w ewangelickim duchu przeżyć swoją starość. Jak wynika ze sprawozdania Seniora, liczba zarejestrowanych wiernych w diecezji mazurskiej spadła do 13.301.



Na naszej okładce — Śpiewające dzieci — fragm. rzeźby z katedry we Florencji, rzeźbił — Luca della Robbia (1399—1482).
Fot. H. Romanowski

ZYCIE KOŚCIELNE NA WĘGRZECH

25 proc. Węgrów należy do różnych denominacji protestanckich. Większość związana jest z Kościołem Reformowanym, który liczy 2 mln. członków. Obejmuje 1250 zborów w ramach czterech dystryktów kościelnych. Pracą duszpasterską kieruje 1280 księży i 250 wikariuszów. Kościół Reformowany posiada dwie akademie teologiczne, jedno gimnazjum, 15 zakładów diakonackich oraz cztery centra konferencyjne.

Kościół Luteranski pod względem liczby członków zajmuje

drugie miejsce wśród Kościołów protestanckich i liczy 450.000 dusz. W 350 zborach pracuje 400 księży. Kościół podzielony jest na 16 senioratów dwóch dystryktów kościelnych. Posiada jedną akademię teologiczną oraz 10 zakładów diakonackich.

Kościół Baptystyczny na Węgrzech liczy 50.000 wyznawców w 500 zborach, nad którymi opiekę duszpasterską pełni 96 księży. Utrzymuje jedno seminarium teologiczne, dom starców i dwa domy wypoczynkowe.

Kościół Metodystów obejmuje 10 zborów i 45 stacji kaznodziej- skich. Nad 2.000 rzeszą wyznawców czuwa 10 duszpasterzy. Kościół ten posiada jeden dom diakonacki.

ZDZISŁAW BRONCEL

Z „Litani Loretąńskiej do Najśw. M. P.”

Racz przybyć do nas Patronko Łaskawa!
Two ręce pachną miodem i tymiankiem,
Szare skowronki wznoszą z rękawa Chabrowej sukni i świergotu wiankiem
Krążą nad głową, aż płaszcza wrzawa Budzi Dziecinę — Ty wtedy porankiem
Zmywasz jej oczy, a lico kropelką Rosy... O święta Boża Rodzicielko
... — Módl się za nami!

Za krajem, w którym nie biorą pieniędzy
Za chleb, podany w komorniczej chacie.
W którym był święty, co płaszcza oddał nędzny,
Król co się smucił, że łez nie odplaci,
Gdzie ten jest bliźnim, kogo los nie szczędził,
I ten najbliższy, kto ojczyznę stracił,
Kedy cieniście na straceńców stoku Krzyż miał ramiona ... Królowo Proroków
... — Módl się za nami!

Za krzywym światkiem i kapliczką z ciosu,
Za każdym miastem, wsią, lasem i polem,
Za krzakami głogu i pagórkami urzосу,
Zbożem, porostym w warcholstwo, kąkole.
Za ziemią biedy i ziemią eposu, Nakrytą nieba pochłumnym symbolem,
Spoczywającą, jak płyta cokołu Pod pomnik Twój... — Królowo Apostołów
... — Módl się za nami!
(fragment)

... W Broxhurn (Szkocja) miejscowi katolicy zorganizowali pomoc na budowę świątyni prezbiteriańskiej, która uległa spaleni.

*

... Na wydziale teologicznym Uniwersytetu Praskiego został zorganizowany katolicko-ewangelicki ośrodek dyskusyjny. Na czele stoi pastor prof. Hromadka, znany działacz na rzecz pokoju.

*

... Patriarcha prawosławnego Kościoła serbskiego w Jugosławii — German wysunął projekt opracowania wspólnego kalendarza liturgicznego dla Kościoła Wschodniego i Zachodniego. Zdaniem patriarchy przyczyniłoby się to do zblżenia między chrześcijanami obu Kościołów.

*

... Naczelnym redaktorem znanego angielskiego dziennika The Times został W. Rees-Mogg. Jest on katolikiem. Do niedawna tego rodzaju nominacja byłaby niemożliwa.

*

... W Austrii powstał Krajowy Związek Rektorów Seminarium Duchownych, który zajmować się będzie problemami związanymi z wychowaniem przyszłych kapłanów.

*

... W parafii ojców dominikanów w Poznaniu wprowadzono msze święte w języku polskim (prawie w całości), przywrócono stary zwyczaj składania ofiar na ołtarzu. Zamiast „pierwszych piątków” zorganizowano godziny biblijne, a w pierwsze czwartki miesiąca — nabożeństwo Słowa Bożego, polegające na czytaniu i komentowaniu Pisma św.

*

... W części diecezji amerykańskich wprowadzono nowy katechizm, który unika trudnych definicji i wyjaśnia zagadnienia teologiczne w sposób zrozumiały i dostępny dla dzieci.



PRZYJACIELSKA WIZYTA

W początkach kwietnia br. bawił w Warszawie pastor Ascan Lutteroth (NRF) z Niemieckiego Towarzystwa Wymiany Kulturalnej i Gospodarczej z Polską. Pastor Lutteroth spotkał się z Kierownictwem Kościoła Polskokatolickiego. Po rozmowach, dotyczących zagadnień religijnych i współpracy na tym polu — pastor Lutteroth złożył nast. oświadczenie:

„Jestem niezmiernie rad, że podczas mego trzeciego pobytu w Polsce mam możliwość poznać bliżej również Kościół Polskokatolicki, jego biskupów i księży. Podczas uroczystości jubileuszowych z okazji 1000-lecia Państwa Polskiego zorganizowanych przez Polską Radę Ekumeniczną spotkałem już Braci — dopiero teraz jednak możemy wymienić nasze poglądy.

W ekumenicznej jedności pozdrawiam wszystkich wiernych Kościoła. Pozdrawiam ich również imieniem tych wszystkich ludzi, którzy w naszym kraju — w Niemieckiej Republice Federalnej występują za pokojem i porozumieniem z Polską!”

SPÓJRZ W NIEBO

EWANGELIA

według św. Jana (15,26—27; 16,1—4)

Onego czasu: Rzekł Jezus uczniom swoim: Gdy przyjdzie Pocieszyciel, którego ja wam pošlę od Ojca, Ducha prawdy, który od Ojca pochodzi, on o mnie świadectwo dawać będzie i wy świadectwo dawać będziecie, bo ze mną od początku jesteście. To wam powie działem, abyście się nie zrazali. Wyłączą was z synagog, a zbliża się godzina, że każdy, kto was zabijać będzie, uczyni to mniemając, że Bogu wyświadcza przysługę. A to wam uczynią, bo nie znają Ojca ani mnie. Ale to wam powiedziałem abyście, gdy nadejdzie ich godzina, wspomnieli na to, żem ja wam powiedział.

Historia Kościoła jest wzniosła i budzi dużo uczuć podziwu. Nie brak przykładów, i to licznych, gdy oddawano życie i przelewano krew dla sprawy Bożej, dla nadprzyrodzonych racji. Dlaczego już w zaraniu dziejów ludzkości Kain zabił Abła, Jęzabel ściagał proroka Eliasza, Herodiada poprosiła o głowę Jana Chrzciciela? Dlaczego Chrystus zginął na drzewie krzyżowym, apostołowie i uczniowie Pańscy z rąk niewiernych rodaków lub pogan? Dlaczego spalono Sawonarolę, zamęczono Jana Husa i prześladowano kapłanów oraz wiernych naszego, narodowego Kościoła? Dlaczego widmo krwi ciągle jak cień idzie obok Chrystusowego Kościoła, obok Ewangelii, obok bożych spraw?

Odpowiedź jest jedna: dlatego lała się krew, ponieważ trwał bój. W ustawicznej walce dobra ze złem, prawdy z fałszem nie było ani na moment zawieszenia broni, gdyż przewaga jednej strony zdecydować mogłaby o losie przeciwniej. Tak jak dzień i noc w jednym i tym samym miejscu równocześnie nie być nie mogą, tak grzech i cnota nawzajem się nie znoszą. A przecież nie o drobnostkę chodzi, lecz o całkowite posiadanie ludzkich dusz. Wiedział dobrze o tym Chrystus, dlatego przygotował swoich uczniów na najgorsze nawet udręki, ponieważ i śmierć samą: „Mnie prześladowali i was prześladować będą... a zbliża się godzina, że każdy, kto was zabijać będzie, uczyni to mniemając, że Bogu wyświadcza przysługę”.

Zwykle działo się tak, że namiętność ogarnia dwa ludzkie serca: jedno, powodowane ewangelijną, apostołską gorliwością pragnęło wszędzie i wszystkim głosić prawdę o Bogu, o sprawach, które z Bogiem i religią pozostają w najściślejszym związku — zaś drugie, mając przeważnie jakieś ziemskie, nierządno osobiste, a nawet niskie cele, zaczynało wypaczać prawdę, podstawić w jej miejsce skonstruowane przez siebie namiastki. Tak dochodziło do walki, do konfliktów, do rozlewu krwi. Czasem obie strony były przekonane, że bronią prawdy, że mają słuszną i wtedy, wyniszczając siebie nawzajem sądziły, że czynią to dla Boga: „każdy, kto was zabijać będzie, uczyni to mniemając, że Bogu wyświadcza przysługę”.

Obchodzona w ubiegły czwartek Uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego kierowała naszą uwagę na niebo. Słowami Machabejki wołał do nas Kościół: Synu, spójrz w niebo.

Dlaczego?

Ponieważ my zbyt goniśmy za ziemskimi sprawami i ziemską troską stoi u nas na pierwszym planie. Świecimy tysiące świec przed ołtarzami i figurami, w ludzkiej naiwności cudów szukamy, dopraszając się często o to, co jest sprzeczne z naszym szczęściem. Wszyscy wołamy do Boga o zdrowie, o powrót męża, dla którego gotowiliśmy zgotować piekielną scenę podobną do tej, z powodu której nas opuścił, o pieniądze, które chcemy przepić i roztrwonąć, o cud opieki nad rozwydrzonymi dziećmi, których nie umieliśmy wychować, bo byliśmy wygodnymi egoistami — o to wszystko modlimy się wszyscy, a rzadko kto z nas modli się o zbawienie swej duszy, o łaskę nadprzyrodzoną, o chrześcijańskie cnoty indywidualne i społeczne, o bezgraniczne panowanie pokoju i miłości w świecie. Należałoby chyba stanąć u bram kościelnych i przecierać oczy poszczególnym wiernym, wołając donośnie słowami owej Machabejki, aby ich z odrętwienia i snu wyrwać, w jaki się pogrzebli wśród monotonii i powszedniości: Córko, Synu. Spójrz w niebo. Cóż za sens wchodzić w progi świątyni, a nie dostrzegać w niej Boga. Tak często oczy przyprószone są ziemią. Czyż nie warto by rzeczywiście spojrzeć w niebo i przypomnieć sobie te głębokie prawdy, o których mówią artykuły naszej świętej wiary: „... wstąpił na niebiosa, siedzi po prawicy Boga Ojca Wszemogącego, stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umartwych. Wierzę... w żywot wieczny”. Te prawdy winny nas zreflektować i oczyścić z ziemskich naleciałości, winny uszlachetnić nasze pragnienia, słowa nasze i działanie nasze. Proces sublimacji jest tak bardzo nam wszystkim potrzebny. Kto się odważy twierdzić, że jest przeciwnie, że jesteśmy zbyt już zaawansowani w Bożym, szlachetnym i sprawiedliwym życiu tak, iż nie potrzeba nam wzwyż się piąć? Czyż nie odżywają w nas czasem drapieżne, dzikie instynkty, których absolutnie nie można pogodzić z wymogami Chrystusowej miłości? Czy słowa nasze nie są niekiedy podobne do bicia, którym jak szalen ciłoszczemy, sieczemy i ranimy wszystkich dookoła, chociaż nam nic nie zawiniło — ot, po prostu lubujemy się czasem w tym sadyżmie, zapominając, że to przecież poważny brak, wada i wykroczenie. A czynny?

Chętni jesteśmy czasem, że budujemy, a tymczasem burzymy i niszczymy; mówimy, że oszczędzamy, a tymczasem trwonimy; o mi-

łości ustami deklamujemy, a nienawiść i złość w zanadrzu nosimy; o pokój walczymy, a wojny potępić i napiętnować nie potrafimy, miłosierdzie nawet świadczymy dla własnego płytkiego egoizmu i ludzkiego poklasku. Cóż to jest? Czyż nie jest to karykatura chrześcijaństwa?

„Synu, spójrz w niebo”.

Nie tylko w niebo patrz jako w nagrodę, którą Bóg zgotował miłującym Go, nie tylko w sentymentalnych westchnieniach zachłystuj się nadzieją nieba, lecz spojrzuj w niebo dlatego, ponieważ w nim mieszka twój Stwórca, Bóg, któremu służyć powinienes. Spojrzuj w niebo i na niebo jako na twój ostateczny cel.

Przecież nie do udręki, ciągłego znoju, lecz i cierpienia powołał Bóg człowieka, lecz powołał go do radości. Radości szukamy, jej pragniemy — czy znajdujemy ją tu, na ziemi? Owszem, czasem tak, ale jakże nieraz trwa krótko. Szczęście ziemskie, które budujemy zwykle pryskać sprzed naszych oczu nierzadko wcześniej zanim stało się naszym udziałem. Inaczej jest ze szczęściem w niebie: z oglądaniem Boga „twarzą w twarz” — z tego oglądania płynąć będzie dla nas całkowite szczęście. Ustanie wiara i nadzieja — one już spełniły swoją rolę — tylko miłość zostanie, którą Bóg miłować będziemy. Będziemy miłujący i przez Boga umiłowani, szczęśliwi szczęśliwością pełną i nieprzemijającą. Tej radości, jak zapewnił Zbawiciel „nikt nam nie odbierze”.

Niech więc powszedniość i ziemskość oczu nam zbyt nie przyprósza. Oświeceni wiara, zachęceni wfnością chrześcijańską idźmy przez życie jak Chrystus — prosto do naszego celu, do nieba. Nie jesteśmy sami w naszej wędrówce. On poszedł przed nami, zapewniając nas, że „idzie przygotować miejsce dla nas”, „bo w domu Ojca mieszkań jest wiele”. Mamy również przewodników w osobach kapłanów w Kościele Chrystusowym, którego jesteśmy członkami. Oni, jak owa Machabejka wołają do nas przyjaźnie, lecz ostrzegawczo: Synu, spojrzuj w niebo. Pamiętaj na Boga, na cel twój ostateczny, a nawet i twoja ziemską wędrówkę zakończy się chwalebny wniebowstąpieniem, przejściem do wiecznej radości i do życia wiecznego.

Polskokatolicką, otwartą postawą przyczyniamy się do zwycięstwa prawdy nad fałszem, dobra nad złem. Dla osiągnięcia takiego zwycięstwa warto się trudzić.

Uczcijmy pamięć tych, którzy nam przykład zostawili jak mamy dla prawdy żyć i jak jej bronić mamy, a sami, w ich przykład zapatrzeni, budujemy w sercach swoich i sercach naszych braci królestwo Prawdy, Sprawiedliwości i Pokoju. Na tym fundamencie można śmiało budować szczęście doczesne i wieczne.

Ks. M. P.

MAJ

N	7	Ludomira, Benedykta
P	8	Wiktora, Stanisława
W	9	Bożydara, Grzegorza
S	10	Izydora, Antoniego
Cz	11	Ludomira, Franciszka
P	12	Dominika, Pankracego
S	13	Robert, Serwacego



Caracas — stolica Wenezueli. W głębi ultranowoczesne wieżowce, a obok nędzne budki, w których gnieździ się masa nędzarzy...

związanych ze sferami posiadającymi. Dzięki temu w encyklice „O postępie ludów” znalazło się sporo miejsca na omówienie obowiązków związanych z posiadaniem dóbr doczesnych, błędów i nadużyć kapitalizmu, ograniczeń prawa własności, których na próżno szukalibyśmy w encyklikach społecznych poprzednich papieży.

Publicysta radziecki Ardatowski przyznaje:

„Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że encyklika *Populorum progressio* oznacza dalszy postęp w rozwoju społecznej doktryny Kościoła katolickiego. Choć wspomina się w niej społeczne encykliki Leona XIII i Piusa XI w istocie jednak ten nowy dokument papieski ocenia inaczej i w dużym stopniu rewiduje tradycyjne poglądy Kościoła w tej materii...”

Pismo socjalistów włoskich Avanti stwierdza, że:

„jest to manifest katolicyzmu w stosunku do krajów rozwijających się i dokument stanowiący nowy etap na wielkim wirażu. w który wszedł Kościół z Janową rewolucją”.

„Encyklika jest dokumentem niezwykle śmiałym jeśli chodzi o koncepcje ekonomiczne, jest dokumentem wszechstronnym i przenikliwym, wykazuje głęboką wiedzę o problemach z zakresu stosunków krajów rozwiniętych i słabo rozwiniętych, uwzględniając aspekty techniczne, jak i moralne i religijne” — konkluduje **prasa amerykańska**.

„Narody biedne — pisze algierski dziennik **El Mudzahid** — których główną troską jest rozwój ekonomiczny i społeczny mogą jedynie wyrazić swoje zadowolenie z powodu tego nowego stanowiska Kościoła rzymskokatolickiego”.

O. Lebrét, dominikanin, syn rybaka bretońskiego, b. oficer marynarki francuskiej, założyciel ośrodka badawczego p.n. Ekonomia i humanizm, ekspert w zakresie zagadnień społecznych i gospodarczych Trzeciego Świata podczas Soboru Watykańskiego II, wywarł podobno bardzo zasadniczy wpływ na sformułowania zawarte w encyklice *Populorum progressio*. Po wojnie często podróżował do Afryki i Ameryki Płd.

Rozwój jest nowym imieniem pokoju

W uroczystości Wielkanocy papież Paweł VI ogłosił encyklikę, nazwaną od pierwszych słów tekstu — „*Populorum progressio*” czyli „O postępie ludów”. Encyklika porusza bardzo istotny problem czasów dzisiejszych. Istotny, trudny i nabrzmiały krzywdą.

Podczas konferencji prasowej w Watykanie, zorganizowanej z okazji wydania encykliki, rzecznik papieski ks. Poupard oświadczył:

„Papież uważał za wskazane skierować do świata ten dramatyczny apel, aby przestrzec narody, że światu grozi zagłada, jeśli natychmiast nie podejmą działań zapobiegawczych. Pokój świata jest zagrożony. Nie czas już na dyskusje. Nadeszła chwila, w której wszystkie narody winny się zjednoczyć w działaniu na rzecz rozwoju, w walce przeciwko nędzy. Rozwój jest nowym imieniem pokoju”.

Encyklika „*Populorum progressio*” jest owocem paroletnich studiów, badań, narad i przemysłów. Myśl wydania tego rodzaju encykliki powziął papież jeszcze w 1964 r. Troska o rozwój ludów, o stworzenie odpowiednich warunków do ich rozwoju nie

narodziła się oczywiście dopiero w ostatnich latach. Nieobca była Kościołowi i dawniej. Nie są nowością również hasła zawarte w encyklice — o zwalczaniu analfabetyzmu i głodu, o konieczności zmniejszenia rozpiętości poziomu między krajami uprzemysłowanymi a krajami rozwijającymi się. Głoszą je wszystkie organizacje międzynarodowe i w miarę swych sił starają się je realizować. Nie stanowią rewelacji zasady i wskazania, które również w takiej czy innej formie pojawiały się w pismach uczonych, mężów stanu, moralistów. Ale trzeba zwrócić uwagę, że różnią się one w sposób zasadniczy od dotychczasowych oficjalnych deklaracji kościelnych w tej dziedzinie. Oznaczają się realizmem, śmiałością, zdecydowaniem. I na tym właśnie polega wielka zasługa Pawła VI. Wydobyl on ze skarbcza tradycji kościelnej zapomniane sformułowania. Sięgnął do pisarzy pierwszych wieków i do pisarzy współczesnych, których pisma traktowane były niejednokrotnie jako niebezpieczne (Lubac. Chenu) i wydobyl z ich twórczości to, co było autentycznie chrześcijańskie, co jednak szokowało wielu „letnich” chrześcijan i wielu duchownych



Le nouvel Observateur stwierdza patetycznie:

„Dziesięć tysięcy słów, 87 paragrafów, prawie 70 przypisów. Pierwsza „społeczna” encyklika Pawła VI prezentuje się monumentalnie. Po raz pierwszy w Populorum progressio Stolica Apostolska nadała doktrynie społecznej Kościoła wymiar światowy”.

Zagadnienia społeczne były dyskuutowane dość obszernie w czasie Soboru Watykańskiego II. Min. kardynał Cardijn zwrócił wówczas uwagę na palący charakter tego zagadnienia.

„Stale wzrasta liczba robotników i przyszłość świata zależy w dużej mierze od ich działalności — mówił kard. Cardijn. Bardziej niż inni oczekują oni na to, co głosi Sobór. Należy mówić do nich językiem konkretnym. W Europie, Ameryce Pn., Australii warunki życia robotników uległy wielkim przemianom. W innych jednak częściach świata robotnicy padają ofiarą ogromnych niesprawiedliwości. Należy zaprosić wszystkich robotników, by zjednoczyli swoje wysiłki przede wszystkim na rzecz robotników Trzeciego Świata. W społeczności chrześcijańskiej pogwałcenie nauki Kościoła w dziedzinie społecznej należy uważać za ciężki grzech”.

Generał Zgromadzenia Ojców Mill Hill postulował powołanie Sekretariatu dla Spraw Sprawiedliwości Społecznej. Kościół powinien dać odczuć światu — mówił — wielką troskę o tych, którzy cierpią głód i żyją w nędzy.

Mimo głosów opozycyjnych ze strony wielbicieli „starego porządku” i czcicieli „świętego” prawa własności dekret „O obecności Kościoła w świecie współczesnym” formułował poglądy na zagadnienia społeczne w sposób dość nowoczesny i postępowy.

Co mówi encyklika?

Rozważania na temat postępu ludów papież zaczyna od stwierdzenia, że każdy człowiek dąży „do wyzwolenia się od nędzy, do trwałszego zapewnienia sobie bytu, zdrowia, stałej pracy, pełniejszego udziału w kierowaniu społeczeństwem, do wyzwolenia się od wszelkiego ucisku i od sytuacji poniżających godność człowieka, do uzyskania większych możliwości kształcenia się — słowem, pragnie mieć więcej po to, by stać się czymś więcej”. Są to dążenia słuszne, chociaż niestety, duża liczba ludzi „musi żyć w warunkach, które te słuszne pragnienia zamieniają w iluzję”.

Kto ponosi winę za istniejącą sytuację? Papież nie pozostawia w tym względzie żadnej wątpliwości. Winien jest system, który „uważa zysk za podstawowy motyw postępu ekonomicznego, prywatną własność środków produkcji jako prawo absolutne, bez ograniczeń ani odpowiedzialności zobowiązań społecznych. Ten liberalizm bez ograniczeń prowadził do dyktatury, słusznie określanej przez papieża Piusa XII jako „źródło międzynarodowego imperializmu pieniądza”. Nigdy nie będzie dosyć potępienia dla tych nadużyć i raz jeszcze w sposób uroczyście należy przypomnieć, że ekonomia winna służyć człowiekowi.”

Papież stwierdza konieczność i obowiązek niesienia pomocy biednym, podkreślając, że nie jest to żadna łaska. „Nie ze swego dajesz — przypomina słowa św. Ambrożego — ale oddajesz biednemu to, co mu się należy. Bowiem to, co jest dane wspólnie, dla użytku wszystkich, ty sobie przywłaszczasz. Ziemia jest dana wszystkim ludziom, a nie tylko bogatym... Prawo własności nie powinno działać z uszczerbkiem dla dobra ogólnego”.

Wskazania indywidualne w zakresie pomocy biednym i obowiązków ciążących na własności odnoszą się również do całych narodów. „Obowiązek solidarności osób jest również obowiązkiem narodów. Przed narodami rozwiniętymi stoi pilny obowiązek niesienia pomocy narodom rozwijającym się”. Obecnie istniejący system doprowadza do „zwiększenia, a nie do zmniejszenia nierówności poziomu życia: bogate narody korzystają z dobrodziejstw szybkiego rozwoju podczas gdy w biednych krajach tempo roz-

woju jest powolne. Rozpiętość ta wzrasta: niektóre kraje produkują żywność w nadmiarze, podczas gdy inne cierpią okrutnie z braku żywności... Do tego dochodzi skandaliczna wprost nierówność nie tylko w dziedzinie korzystania z dóbr materialnych, lecz również w dziedzinie sprawowania władzy. Podczas gdy ta czy inna oligarchia korzysta w niektórych rejonach ze wszystkich dobrodziejstw wysublimowanej cywilizacji, pozostała część ludności, uboga i skłócona, pozbawiona jest prawie zupełnie możliwości wykazania własnej inicjatywy, wzięcia na siebie odpowiedzialności, a ponadto skazana jest często na niegodne warunki życia i pracy”.

Papież wzywa do szybkiego i solidarnego wysiłku, aby naprawić istniejące zło i zapobiec mu na przyszłość. „Rozwój wymaga odważnych przemian — głosi encyklika — głęboko nowatorskich, pilnych reform, które muszą być niezwłocznie podjęte. Każdy powinien odważnie wziąć w tym udział, a zwłaszcza ci, którzy ze względu na swe wykształcenie, warunki i władzę, posiadają wielkie możliwości działania...”

Papież znalazł również słowa potępienia dla rasizmu i wszelkich form kolonializmu. Powtórzył swoje wezwanie, rzucone poprzednio w czasie podróży do Indii, stworzenia międzynarodowego funduszu, na który miałyby się złożyć sumy obciążone z programów zbrojonych oraz kapitały przeznaczone na wydatki „prestżowe”.

„Zbyt wielkie nierówności ekonomiczne, społeczne i kulturalne — pisze papież w dalszej części encykliki — powodują napięcia i niezgodę zagrażając pokojowi... Zwalcianie nędzy i walka z niesprawiedliwością — to rozwijanie w najlepszy sposób postępu ludzkiego materialnego i duchowego... Pokój buduje się dzień po dniu, w dążeniu do porządku uprzągniętego przez Boga, wyznaczonego przez bardziej doskonałą sprawiedliwość między ludźmi”.

*

Duże fragmenty encykliki Populorum progressio czyta się jak posłannictwo sekretarza Narodów Zjednoczonych do narodów świata, ba! niemal że — jak wystąpienie socjalistycznego męża stanu. Można by przypuszczać, że całe wieki dzieła Pawła od Piusa X, XI, XII, od Leona XIII. Jakżeż bowiem w świetle encykliki, dotyczącej najbardziej piekących problemów świata współczesnego brzmi przestroga Piusa aby kapłani „nie przywiązywali zbyt wielkiej wagi do materialnego dobrobytu ludzi, co pociąga za sobą zaniedbywanie o wiele ważniejszej pracy nad duszami”. Przypomnijmy tę przestrożę.

„(Kapłan) musi stać ponad sprawami ziemskimi i utarczkami wszystkich warstw społecznych... Działając w ten sposób nie naraża się na żadną opozycję, nie miesza się w walki partyjne i nie naraża się w ten sposób na krytyki...”

W „społecznych” encyklikach poprzedników Pawła VI mówiło się wiele o nierówności między ludźmi, jako o zjawisku naturalnym, o niebezpieczeństwie grożącym ze strony socjalizmu. „Zgodne jest z porządkiem ustanowionym przez Boga, by społeczeństwo składało się z panujących i poddanych, z pracodawców i robotników, z bogatych i biednych...” pouczała encyklika **Quod Apostolici muneris**. „Biedni niechaj nie wstydzą się swego niedostatku i nie gardzą miłosierdziem zamożnych” napominał Leon XIII. Z encykliki Pawła VI dowiadujemy się natomiast że nie „porządek ustanowiony przez Boga” domaga się by byli biedni i bogaci, ale że sytuację taką stwarza występny system ekonomiczny... I nie miłosierdzia oczekiwać mają biedni, ale czystej sprawiedliwości...

Omawialiśmy pozytywną stronę encykliki. To wszystko, co należy zapisać na konto „ma” Kościoła rzymskokatolickiego i Papieża. Ale istnieje i druga strona medalu. Również pasjonująca. O niej pomówimy innym razem.

ST. KUMAT

SKĄD TYLE KOŚCIOŁÓW?

Kościół prawosławny

Ruch staroobrzędowców już poprzednio omówiony jest jedynym odłamem nowożytnego prawosławia bez wpływów obcych. Inne ruchy wyznaniowe takie jak duchoborce, paszkowcy, sztundyści powstanie swe zawiązują wpływowymi wyznaniowymi ruchami z Zachodu, zwłaszcza zaś protestantyzmu.

Duchoborce (bojownicy ducha) pojawili się w XVIII w. na terenie Rosji. Oparli się na wypowiedzi Chrystusa: „Nadchodzi jednak godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w duchu i prawdzie, a takich to czcicieli chce mieć Ojciec. Bóg jest duchem; potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w duchu i prawdzie” (Jan 4, 23-24). Odrzucili więc wszelkie zewnętrzne ceremonie i tradycyjną naukę o Kościele. Biblią podbudowali swą niechęć do wszelkiej władzy a zwłaszcza do władzy carskiej, głosząc, że wszelka władza pochodzi od diabła. Boga pojmowali panteistycznie (wszystko jest Bogiem — Bóg nie jest osobą rozumną), Chrystusa uważali tylko za człowieka o wielkiej doskonałości duchowej. Większość z nich odrzuciła tradycyjną naukę o życiu pozagrobowym w ujęciu chrześcijańskim i przyjęła wiarę w wędrówkę dusz.

Duchoborce rozbili się dość szybko na wiele pomniejszych sekt. Powstali malokanie — zabraniający jedzenia wieprzowiny; stranniki (wędrownicy) — ustawicznie uciekający przed antychrystem czyli przed prawem i instytucjami państwowymi: cara; chłysty, skopcy (trzebieńcy), subotniki — świętujący soboty zamiast niedziel; Tolstojowcy — głoszący zasadę Lwa Tolstoja o nieprzeciwianiu się złu w myśl błędnie pojętej nauki Chrystusa: „A ja powiadam wam: Nie stawiajcie oporu „złemu” (Mat. 5, 39). Do sekt duchoborczych należeli też „skakuny”, „malowańcy” i inni.

Za rządów cara Aleksandra I (1801-1825), liberalna prawosławia i mistyka poważny wpływ na życie wywarł protestancki pietyzm. Powstał on w drugiej połowie XVII w. jako reakcja przeciw ortodoksji ewangelicznej a miał na celu rozbudzenie żywej wiary i odnowienie starochrześcijańskiej pobożności. Pietyzm zalecał gromadzenie się poza urzędowymi kościołami i kaplicami, czytanie Pisma św., śpiewanie religijnych pieśni i toczenie swobodnych rozmów religijnych.

W pietystycznym ruchu przodowali protestanci niemieccy i oni wywarli znaczny wpływ na prawosławie. Wynikiem tego było powstanie w XIX w. w Rosji dwóch odłamów pietystycznych, których członków nazwano paszkowcami i sztundystami.

Nazwa paszkowców wywodzi się od Wasyla Paszkowa, carskiego pułkownika, założyciela towarzystwa zachęty czytania pobożnych książek napisanych przez protestanckich pietystów, domagających się wyznawania wiary przez pracę wśród otoczenia, a nie przez ceremonie i dogmaty. Wynikiem działalności paszkowców było zorganizowanie akcji charytatywnej oraz wydawanie miesięcznika „Rosyjski Robotnik”, mającego za zadanie ułenie doli proletariatu przez rozwój oświaty i organizacji robotniczych. Z tego też powodu władze carskie zakazały działalności towarzystwa i poczęły prześladować paszkowców.

O ile ci ostatni działali w północnej Rosji, to w Rosji południowej rozwijali się sztundyści. Nazwa ich pochodzi z niemieckiego wyrażenia „Gebetstunde” — godzina modlitwy — co wskazuje na wpływy niemieckie. Wśród niemieckich, protestanckich kolonistów ze Szwabii osiadłych w okolicach Charkowa pojawili się niemieccy baptysty (przezywani też nowoocześnieńcami) znani z radykalnego pacyfizmu i wstrzymywania się od przysięgi. Około 1864 r. jeden z kaznodziejów baptystycznych, Oncken, spróbował przyciągnąć do swego wyznania ludność prawosławną i mu się to w znacznej części udało. Daleko posunięty demokracyzm organizacyjny i prostota obrzędów religijnych baptyzmu okazały się czymś godnym uwagi dla tych, którzy byli już zniechęceni do carskiej Cerkwi. Ale władze carskie utrudniały konwersje i prześladowały sztundystów dość gwałtownie. Tolerancyjny ukaz carski w 1905 r. stworzył okazję sztundystom do unii z paszkowcami. Powstał wtedy Wszechrosyjski Związek Ewangelicznych Chrześcijan.

Ks. S.W.

w Białce straszy

Z Lublina prowadzi szosa przez Piaski Lubelskie w stronę Chełma. Gdzieś na siódmym kilometrze za Piaskami, odchodzi od szosy polna droga. Po obu jej stronach stoją stłoczone drewniane chałupy.

— Białka daleko?

— Prosto, panie! Bez wieś, kawałek za lasem, będzie tak z pięć kilometrów.

Te pięć, zamienia się w dobre siedem. Za wsią ciągnie się las. W gorącym kwietniowym słońcu pachnie żywica, z suchym trzaskiem spadają wyschnięte szyszki. Kilku drwali stuka siekierami. Na mchu wśród poszycia połyskują białe, odarte z kory sagi drzewa. Przejeżdżający traktor, niweczy na moment zapach lasu i wiosny.

Piaszczysta droga — wstęgą kolein wspina się po łagodnym wzniesieniu ornych pól, dotyka szaroniebieskiej kopuły nieba i jakby zmęczona spada lekkimi skrętami, prosto w drewniane domostwa Białki.

Chałupy wciśnięte w ziemię — pod słomianymi dachami. Przy każdej z nich obora, stodoła, szopy, komórki, chlewy, gołębniki, wszystko to obwiedzione płótkami z drewnianych żerdzi, rzadziej drucianą siatką. Po drodze wałęsają się krowy, w koleinach drogi usmarkany dzieciak przesypuje brudny piasek z rączki do rączki. Na ogłos kroków podnosi umorusaną buzię, zdziwione oczy wlepiając w obcego przechodnia.

Zdawałoby się — zwykła, najzwyczajniejsza wieś, w której nic i nikt nie zakłóca ciszy i spokojnego życia. Wieś leżąca na uboczu, deskami zabita, gdzie w jesienne czarne noce diabeł w szyby bębni i mówi dobranoc. Ale są to tylko pozory, od pewnego czasu coś się w Białce dzieje. Gdzieś, jakby w podziemiu pod tą zewnętrzną skorupą ciszy i marazmu wrą namiętności i tylko od czasu do czasu wybucha ognista lawa na powierzchnię niszcząc dorobek ludzkiego życia. Za węglami chałup coś się czai... W oczach mieszkańców widać przerażenie. W Białce straszy...

Białka należała do rzymskokatolickiej parafii w Milejowie. Między księżmi, jak to zresztą nieraz między ludźmi bywa, powstały waśnie i kłótnie. Księżowskie nieporozumienia przeniosły się na wieś. Podzieliły ludzi. Ci za tym księdzem, tamci za tamtym. Ktoś wysunął koncepcję aby założyć we wsi parafię Kościoła Polskokatolickiego.

„Prawie cała wieś na to zgodziła się — mówi mi jeden z mieszkańców. Wiadomość dotarła do Milejowa. Przyjechał ksiądz, przynieśli obraz M. P. i rozpoczęła się sąd ostateczny. Ksiądz prosił, groził, zaklinał... Apelowaliśmy do sumienia, do tradycji... że wszyscy w Białce byli rzymskokatolikami, że odstępowanie od wiary to grzech, że spadnie kara boża. Część ludzi uległa się, ale wielu pozostało przy Kościele Polskokatolickim.

I tak już od roku mieszka we wsi ksiądz polskokatolicki. Jest parafia. Wierni z parafii polskokatolickiej nabyli plac pod budowę kościoła...

19 czerwca 1966 roku około północy w domu Stanisława K., w którym mieszkał ksiądz polskokatolicki, wybuchł pożar. Ludzie obudzili śpiącego proboszcza i gdyby nie to, nie wiadomo co by się mogło wydarzyć. Drewniana chałupa spłonęłaby doszczętnie.

Na drugi dzień po pożarze, w pobliżu zgliszcz znaleziono butelkę, korek, a także zeszyt szkolny jakiegoś ucznia. Mimo to sprawcy pożaru nie wykryto. Czy było to podpalenie? Czy przypadek?

12 kwietnia 1967 r. spłonęły trzy stodoły. Tak się dziwnie złożyło, że właścicielami ich byli wyznawcy Kościoła Polskokatolickiego. Wiadomo jakie fakt ten wywołał komentarze.

— Poszliśmy akurat na nieszpór — opowiada jeden z gospodarzy — było tak koło czwartej. Biały dzień, niedziela. A tu krzyk — pożar! Pali się stodoła Aleksandra W. Nowa

stodoła, dopiero co ją człowiek postawił. Poszło z dymem wszystko, siano, zboże, słoma, a to przecież, panie przednówek. Spaliły się sąsiednie dwie stodoły. Razem trzy. Swoją jakoś uratowałem.

Od pożaru upłynęły dwa tygodnie. Była milicja, straż pożarna, agent ubezpieczeniowy. Odszkodowanie zostanie wypłacone, ale przyczyn pożaru znowu nie wykryto.

Stoję na ganku jednego z domów. Wieś ciasno zabudowana drewnianymi chatami. Suche, nagrzane słońcem zmurszałe ściany, wyschnięta słoma na dachach... iskierka wystarczy, kawałek szkła na poszyciu i pożar gotowy.

A woda?

— Stamtąd motopompy ciągnęły wodę!

Patrzę na łąkę gdzie szkli się małe oko płytkiej sadzawki. Tak, nawet pożaru nie ma czym gasić. I mimo woli kojarzy mi się widziana kiedyś rycina — para galopujących koni, ciągnąca beczkę z wodą... A wystarczyłoby trochę dobrych chęci i inicjatywy, aby w czynie społecznym zbudować choćby dwa zbiorniki z wodą... Z pożytkiem dla wsi i bez nianawści. Bez strachu.

Gospodyni zaprasza mnie do izby:

— Wejdzmy do środka, bo tu wszyscy zaraz ciekawi — już nie wiadomo czego się bać...

Zaraz pomyślą, że Bóg wie co się tu robi.

Strach wyziera z jej oczu ale mimo wszystko zapewnia z przekonaniem:

— Nas nikt nie przestraszy, nie cofniemy się. Panie, jak tu przyjechał biskup rzymski, „banderolia“ go witała, ani dostąpić, siedział jak król, w samochodzie rozpatry, z ludźmi nie rozmawiał. A teraz inaczej. Przyjeżdża biskup polskokatolicki, podaje rękę, porozmawiamy, mówi do nas: Bracie. To, Panie, ciesz się, my też ludzie. Dlatego Kościół Narodowy nam się podoba i my go kochamy.

Kochanie, nienawiść..., strach. Rozpalone namiętności kłębią się w Białce. W odległym o 30 km Lublinie istnieją dwa uniwersytety a tu — niemal — wojna religijna. Wieki całe dzieli Białkę od Lublina. Chociaż i w tym uniwersyteckim mieście działy się jakieś „cudy“ przed niewielu laty... Są jakieś siły w Polsce, którym zależy na sianiu zamętu, na rozniecaniu wojen religijnych...

A swoją drogą, kompetentne czynniki powinny przedsięwziąć wszelkie możliwe kroki, aby wyjaśnić te zagadkowe pożary w Białce.

Karę boską — jako przyczynę — należy chyba wykluczyć. Takie stawianie sprawy jest zarówno głupotą jak bluźnierstwem.

A więc może przypadek? Tylko, że przypadek ten tak jakoś zupełnie nieprzypadkowo uderza w jednym kierunku.

A może porachunki osobiste? A może podjazdowa wojna religijna?

Sprawę trzeba konkretnie wyjaśnić. Liczymy na sprawność naszych organów bezpieczeństwa, muszą one zabezpieczyć, stworzyć takie warunki życia, aby ludzie w Białce mogli spać spokojnie. Trzeba wyplenić strach i nienawiść. Sprawa jest pilna.

STEFAN KAMIONKOWSKI

W związku z wypadkami w Białce otrzymaliśmy notatkę naszego Korespondenta pod wymownym tytułem: „DOŚĆ POLOWAŃ NA CZAROWNICE”.

Zyjemy w czasach kiedy narody świata dążą, by pokój panował wszędzie, by kraje o różnych ustrojach i ludzie, należący do różnych denominacji religijnych, współżyli w braterstwie i miłości — pisze nasz Korespondent. Od dwóch tysięcy lat Ewangelia Chrystusowa uczy: — Miłuj bliźniego, jak siebie samego i — ze wstydem jednak musimy przyznać, że wśród ludzi wierzących w Polsce uwidacznia się zenująca nietolerancja. Miłość bliźniego jest tylko czczym frazesem głoszonym w niedziele i święta. Panuje ciemnota, fanatyzm i zafocianie.

Jesteśmy stale jeszcze świadkami różnych gorszących aktów nietolerancji i fanatyzmu w naszym kraju. Pisał o tym pod koniec 1965 r. ówczesny wikariusz generalny diecezji krakowskiej Kościoła Polskokatolickiego, ks. inf. Tadeusz Majewski, w „Liście otwartym” do rzymskokatolickiego arcybiskupa Karola Wojtyły w Krakowie. W liście czytamy m. in.:

„...W czasie nabożeństw w kaplicy kościoła baptyistów wybito szyby cegłą. Proboszczowi parafii ewangelicko-augsburskiej, przy ul. Grodzkiej, zerwano afisz zawieszony przed kościołem dotyczący Ekuumenicznego Tygodnia Modlitwy. W pierwszych dniach maja 1965 r. w Krakowie, w kościele polskokatolickim przy ul. Łagiewnickiej, w czasie nabożeństwa majowego wybito szyby... w kaplicy przy ul. Kopernika 13, zdemolowano wejście.”

Czy są potrzebne komentarze?



Rozmyślania pod jabłonką

O SZTUCE ZATRUVANIA SOBIE ŻYCIA

Pan Wiśniewski według wszelkich ogólnie przyjętych kryteriów — winien być człowiekiem zadowolonym z życia, a być może nawet szczęśliwym.

Mieszka w niewielkim, lecz uprzemysłowionym miasteczku, położonym w pięknej okolicy wśród wzgórz nad jeziorem. Przed kilku laty, dzięki swemu zakładowi pracy, otrzymał trzypokojowe mieszkanie w nowo wybudowanych blokach — przedmiocie dumy i zazdrości pozostałych mieszkańców miasteczka. Jest ojcem trojga udanych dzieci, z których dwoje zdążyło już ostatnio założyć własne rodziny. Gospodarstwo domowe prowadzi mu teściowa, a on sam wraz z żoną są szanowanymi i cenionymi pracownikami swych przedsiębiorstw.

W letnie niedziele, rodzina pana Wiśniewskiego udaje się gromadnie na działkę, aby tam pracując na świeżym powietrzu, wyczerkiwać powrotu „głowy domu” z wędkarskich wypraw wzdłuż rzeki wpadającej do jeziora.

Zimowe wieczory rodzina lubi spędzać przy telewizorze, lub na rozlicznych imprezach organizowanych w miejscowym klubie, gdzie pani Wiśniewska jako osoba żywa, wesola i zawsze chętna do pracy społecznej — czuje się w swoim żywiole.

Obrazek zaiste idylliczny — jak ze szkolnej czytanki. Dobre warunki materialne, praca dająca zadowolenie i satysfakcję, kochająca rodzina. Czegóż więcej potrzeba? A jednak...

A jednak pan Wiśniewski jest człowiekiem nieszczęśliwym, zrezygnowanym, bliskim zupełnego rozstroju nerwowego, wybuchającym przy lada okazji i zaplątanym w rozliczne perypetie — formalne, prawne, zawodowe, sąsiedzkie i osobiste.

Powiedzmy sobie szczerze — jako człowiek nie jest lubiany. Nie ma przyjaciół, ani bliskich znajomych. Ani w zakładzie pracy, czy spośród sąsiadów z bloku nikt nie przystanie z nim „ot tak sobie” na pogawędkę, nikt nie zatrzyma się przy ogrodzeniu jego działki, aby porozmawiać o pogodzie czy nowej odmianie truskawek. Wszyscy omijają go z daleka — a opinii jakimi komentuje się jego nazwisko w prywatnych rozmowach nie należą do najpochlebniejszych.

Czemu tak się dzieje? Skąd się bierze ta rozbieżność pomiędzy pozornie szczęśliwym życiem pana Wiśniewskiego, a takim stosunkiem ludzi względem niego?

Ot choćby sprawa „tupiącego sąsiada”. Pan Wiśniewski mieszka na II piętrze, a pięćno wyżej pan Malinowski. Pan Wiśniewski wchodzi do mieszkania zakłada domowe kapcie, pan Malinowski zaś nie ma tego zwyczaju. Normalnie przy doobrosąsiedzkich stosunkach kwestia ta mogłaby się stać nawet zaczątkiem przyjaźni. Ale nie z panem Wiśniewskim.

Już w kilka dni po przeprowadzce pan Wiśniewski doszedł do wniosku, że coś mu po nowym mieszkaniu, skoro nad głową sąsiad „tupie” i „wali w podłogę”. Rozpoczął więc zrazu kanonadę kijem od szcztotki, a kiedy „tupanie” nie ucichło, nie ba-

cząc na późną wieczorną godzinę wypadł na klatkę schodową: grzmiąc „na cały blok” na temat „chamstwa, lajdactwa i zdziczenia”, popędził na górę. Wszędzie otwierały się drzwi i w chwili, gdy zdyszany pan Wiśniewski stanął przed drzwiami hałaśliwego sąsiada, z tyłu za nim zgromadził się spory tłumek ciekawych. Wobec takiego audytorium pan Wiśniewski nie poniżył się do użycia dzwonka. Zaczął walić pięściami w drzwi sąsiada: gdy ten ukazał się na progu obrzucił go stekiem obelg. Sąsiad poczuł się (i słusznie) obrażony. Przy zachęcających okrzykach zebranych, biorących na przeciwną stronę obu zwaśnionych, oświadczył, że: — „we własnym mieszkaniu mam prawo chodzić nawet w podkutych butach”. Na co pan Wiśniewski poczuł nagle w sobie ducha pedagoga i długo oraz głośno wyjaśniał w jaki sposób on „nauczy” tego...

Później do sprawy włączył się Komitet Blokowy, Rada Osiedlowa, wreszcie Kolegium Orzekające. Pisma, świadkowie, odwołania, wyroki — i w rezultacie tego, i kilku innych podobnych incydentów, nikt z sąsiadów nie kłania się panu Wiśniewskiemu.

Podobnie było na działce. Pan Wiśniewski „wiedział lepiej” kiedy należy sadzić pomidory i głośno wyśmiał „sąsiada z prawej” za jego ignorancję, życząc ponadto aby mu pomidory wymarzęły. Co, gdy się rzeczywiście stało, skłoniło tegoż sąsiada do odmowy udzielenia swej zgody na przeprowadzenie przez jego teren wody na działkę pana Wiśniewskiego. Z „sąsiadem z lewej” z kolei posprzeczał się pan Wiśniewski o kury, które rzekomo przefrunęły przez ogrodzenie i zniszczyły mu grządkę. Więcej otwartych scysji nie było, gdyż w najbliższym sąsiedztwie byli tylko ci dwaj, a inni działkowicze z „sąsiadem z przeciwka” na czele orzekli, iż pan Wiśniewski jest „grubianinem” i udawali, że go nie znają.

Biedna pani Wiśniewska, mimo swego pogodnego usposobienia nie potrafiła już tej narastającej atmosfery rozładować. Sama zresztą była w stałym konflikcie z mężem: o dzieci, teściową, wydatki na dom, nieodpowiednią fryzurę, a wreszcie o to, że chrapie w nocy. Budzona ustawicznie z powodu rzekomego chrapania, „pouczona” i poszturchiwana, przeniosła się do drugiego pokoju, co z kolei spowodowało lawinę oskarżeń o „niemoralność”, „zdróżne chęci” i na koniec o „jawną zdradę”.

Dzieci szybko starały się osiągnąć „jaką taką” samodzielność byle tylko uciec z domu, teściowa całe popołudnia przesiadywała w kościele lub „u kumoszek”, żona znikła z domu i pracowała społecznie w Lidze Kobiet — a pan Wiśniewski wpadał w coraz to większą depresję.

W zakładzie pracy, gdzie podobne historyjki w związku z jego trudnym charakterem były na porządku dziennym — wystano go w końcu do lekarza chorób nerwowych, gdyż ani perswazje, ani „poważne rozmowy” nie pomagały, chciano mu zresztą szczerze pomóc, gdyż był dobrym fachowcem, solidnym i sumiennym pracow-

nikiem — cóż kiedy nie umiał współżyć z ludźmi.

Lekarz skierował go na serię rozmów z psychologiem. Ten po wysłuchaniu wszelkich uwag i wynurzeń pana Wiśniewskiego doszedł do wniosku, iż jest to człowiek bez reszty zaplątany w drobiazgi, skłócony z sobą i całym światem, brnący z uporem w coraz to bardziej zawikłane sytuacje i pozbawiony zupełnie umiejętności stosowania kompromisów, przystosowania się do warunków i otoczenia oraz współżycia z ludźmi.

Psycholog wspólnie z lekarzem chorób nerwowych rozpoczął tedy terapię, a wśród znajomych z upodobaniem rozpowszechniał dowcip na temat jednego ze swych pacjentów, który, gdyby uczynił zadość jego pragnieniom winien mieszkać na ogromnym drzewie rosnącym w środku wielkiego miasta, w domu-gnieździe całkowicie zautomatyzowanym, a jednocześnie prymitywnym. Byłoby to z dala od ludzi, ale wśród nich, w miejscu ludnym, ale i odosobnionym, korzystając ze zdobyczy cywilizacji, ale bez niej. I tak dalej w nieskończoność...

Należy współczuć panu Wiśniewskiemu. Bez wyraźnych, materialnych powodów, skątecznie i zupełnie bezinteresownie „zatruił” sobie życie. Sam zresztą w tej sytuacji jest najbardziej godny pożałowania. Zbliża się już bowiem jesień jego życia a on wśród tych ludzi pozornie bliskich jest samotny, coraz bardziej zgorzkniały, przekonany o swej „krzywdzie”, nieszczęśliwy i pozbawiony celu oraz radości życia.

Wprawdzie sztukę „szkodzenia sobie” doprowadził do perfekcji, gdyż „stargał nerwy” i doprowadził się do owrzodzenia żołądka — ale czyż to może być satysfakcja?

Ma zwyczaj mówić teraz często do żony: „patrz do czego mnie doprowadziście” — obejmując tą liczbą mnogą bliżej nie określoną ilość osób — ale czyż to nie smutne i nie tragiczne na miarę małej tragedii małego człowieka?

HABER

Fot. J. Kuruliszwili





Witraż z XIII w. przedstawia pobieranie opłat od sprzedawców. Własność katedry w Tournai (Belgia).

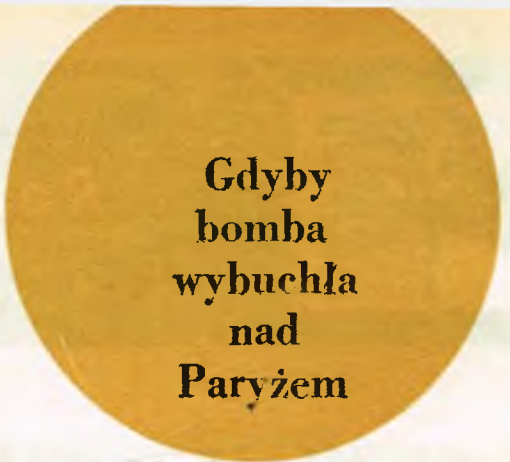
EPOKOWE DZIEŁO

W 1949 r. prof. Hans R. Hahnloser z Berna (Szwajcaria) wysunął propozycję, aby opracować i wydać dzieło traktujące o sztuce witrażowej. Propozycja została podjęta i w poszczególnych krajach Europy przystąpiono do pracy. To naprawdę gigantyczne dzieło nosi nazwę „Zbiór witraży średniowiecznych”. Dotychczas ukazało się 7 tomów, obejmujących dzieła witrażowe Szwajcarii, Francji, Belgii, Austrii, NRF i Skandynawii. Płęd dalszych tomów ma się ukazać już w najbliższym czasie. Dalsze tomy (23) znajdują się w opracowaniu. Dzieło zawiera opis historyczny poszczególnych dzieł i ich barwne reprodukcje. Jest to pierwsza kompletna praca w tym zakresie.



Witraż z XV w. przedstawiający św. Jana Chrzciciela. Obecnie znajduje się w Muzeum Historycznym w Bazylei (Szwajcaria).

Witraż znajdujący się w Muzeum Sztuki Stosowanej w Wiedniu — z XIV w. — przedstawia scenę biblijną — „wypędzenie kupców z świątyni”.



Gdyby bomba wybuchła nad Paryżem

Na przykład przy rogatce la Chapelle... bomba termonuklearna o mocy 1 megaton... Jaki byłby skutek? — zastanawia się Georges Menant w „Paris Match”.

W jednym momencie cały północny Paryż przestaje istnieć. Wszelki przejaw życia został zniszczony. Reszta miasta płonie. Przerazenie i popłoch wśród mieszkańców. Ku wschodowi wiatr unosi olbrzymią chmurę radioaktywną, która zakazi następne pokolenia, które na świat przyjdą...

Trzydzieści słońc — taka jest siła błysku. Nad miejscem eksplozji tworzy się kula ognista o szerokości 2.200 metrów. Temperatura w centrum tej kuli sięga do kilkuset milionów stopni... lokomotywy na dworcu Północnym roztopiają się natychmiast... Wieża Eiffla wyrwana z fundamentem wyładowała na stacji metra w Grenelle, kamienie z rozbitego Łuku Triumfalnego rozsypały się po Lasku Bulońskim, a odłamki wież katedry Notre-Dame można odnaleźć u wylotu autostrady wiodącej na południe...

W ciągu kilku sekund, które nastąpiły po eksplozji, ognista kula wznosi się pod niebo... wznosząc się zamienia się w grzyb. Pod kapeluszem tego grzyba wznoszącym się w górę, w błyskawicznym tempie tworzy się prostopadła, kilkumetrowa „lodyga”, gigantyczny komin, do którego wciąga się powietrze, przedtem odrzucone na chwilę siłą eksplozji. Podmuch ten, o prędkości 200 km na godzinę, koncentruje się na strefie objętej pożarami. Zaczyna się burza ogniowa, która szaleć będzie przez kilka minut, zamieniając w morze płomieni obszar o powierzchni 180 km kw. Stanowi to



Podczas pewnej nocy lutowej 1943 r. na polu porośniętym kukurydzą zaczął się tworzyć stożek wulkaniczny. Wydobywająca się lava pokryła najbliższy teren. W ciągu tej samej nocy pochłonęła wieś San Juan, z której pozostała tylko stercząca wieża kościelna. W pół roku później ofiarą wulkanu padło miasteczko Parangaricutire odległe o trzy kilometry. Stożek wulkaniczny osiągnął wysokość 400 m. Działo się to w Meksyku.

W 79 r. n.e. wybuch Wezuwiusza zniszczył kompletnie Pompeje. W r. 1961 nastąpił potworny wybuch wulkanu na wyspie Tristan da Cunha (Płd. Atlantyk). Znaczna część ludności została ewakuowana do Wielkiej Brytanii. W 1963 r. nastąpiły wybuchy wulkanów na Kostaryce i w Indonezji. 1700 osób straciło życie. 400 tys. zostało pozbawionych mieszkań i dobytku.

W 1923 r. w ciągu pięciu minut zostały zburzone na skutek trzęsienia ziemi dwa wielkie miasta japońskie: Tokio i Yokohama. Strały materialne wyniosły 2 mld dol. 250 tys. ludzi zostało zabitych lub rannych. Najbardziej tragiczne w skutkach trzęsienia ziemi na przestrzeni ostatnich lat wydarzyły się w Maroku i Chile (1960), w Iranie (1962), w Libii i Jugosławii (1963), na Alasce i w Japonii (1964). Spowodowały one śmierć 25 tys. ludzi.

Bywają inne jeszcze katastrofy. W 1963 r. przeciągnął od wysp Trinidad, przez Tobago i Male Antyle aż po Haiti orkan „Flora” — niszcząc po drodze wszystko, pozbawiając wiele tysięcy ludzi dachu nad głową, powodując zalewy i powodzie. Orkan „Flora” szalał w ciągu dziewięciu dni, Ten

sam teren nawiedziły trzy okrutne orkany w latach 1959—1963.

Drugą strefą cyklonów tropikalnych jest Daleki Wschód, wyrzeźbiona Pacyfiku rozciągająca się na północ i na południe od równika. W ciągu ostatnich lat zanotowano tu osiem potężnych tajfunów. Nawiedziły one Pakistan, Hong-kong, Formozę. Zniszczyły tysiące domów, spowodowały śmierć wielu ludzi.

Bilans strat spowodowanych katastrofami naturalnymi jest zastraszający. W dodatku, kraje i narody dotknięte klęskami są biedne i skazane na własne siły, absolutnie nie są w stanie podźwignąć się z ruiny. W każdym więc wypadku jest nieodzowny wspólny wysiłek, wspólna akcja wielu narodów. I tak się też dzieje. Jest to zjawisko szczególnie charakterystyczne dla czasów dzisiejszych. Charakterystyczne i niezmiernie pocieszające. Mimo przeciwności i konfliktów politycznych, które dzielą dzisiejszą społeczność ludzką, każda klęska żywiołowa dotykająca jakiś kraj, wywołuje żywe współczucie, znajduje żywy odzwiek u innych narodów, które śpieszą z pomocą materialną. Tak było po trzęsieniu ziemi w Agadirze. Tak było również po zniszczeniu miasta Skopje w Jugosławii.

Z pomocą śpieszą przede wszystkim organizacje Narodów Zjednoczonych: UNESCO, UNICEF (Światowy Fundusz Pomocy Dzieciom), FAO (organizacja do spraw Żywności i Rolnictwa), WHO (Światowa Organizacja Zdrowia) i in. Jest to — podkreślić raz jeszcze — zjawisko cenne i budujące. A. Cichowski na podstawie konkretnych

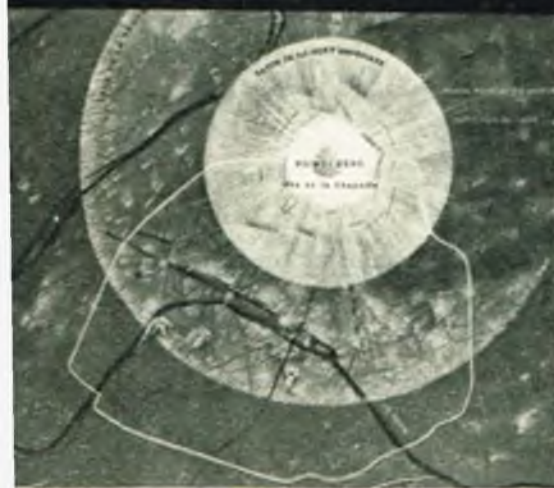




Ofiary katastrofy...



Jaśniejsza plama na zdjęciu, to rejon Paryża, na który zrzucano by bombę...



krąg o średnicy 7.5 km... Ulice zamieniają się w rwące strumienie płonącej smoły, domy przypominają olbrzymie pochodnie... Raz po raz spadają przelotne nasycone smolą deszcze, których krople zamieniają się w parę, zanim jeszcze dotkną ziemi...

Oto koniec Paryża.

A co się dzieje w okolicach Paryża?

Najpierw wybuchają pożary... na przestrzeni 11 km... Ludzie, którzy w obrębie 9 km znajdowali się na ulicy lub w otwartym oknie, ulegli napromieniowaniu i odnieśli poparzenia drugiego stopnia... Fala uderzeniowa spowodowała szkody na przestrzeni 23 km od punktu zerowego....

To dopiero początek. Większość spośród tych mieszkańców podmiejskich osiedli, którzy odnieśli tylko obrażenia lub kontuzje i wierzą, że przeżyją katastrofę, nie domyśla się nawet, że jest skazana na śmierć...

Gdyby spojrzeli w górę, zobaczyliby olbrzymią czarną chmurę, obejmującą połowę nieba. Chmura ta powstała z wygaszonej już kuli ognistej... W 10 minut po wybuchu obłok miał 32 km szerokości... To chmura radioaktywna, obłok śmierci... Wiatr przesuwają ją na wschód... Wszyscy mieszkańcy tej strefy skazani są na śmierć w odstępie od kilku dni do kilku tygodni. Poza tym obszarem rozciąga się strefa groźnego promieniowania. Maksymalna długość tej strefy wynosi 35 km... Mieszkańcy jej nie wymrą całkowicie, ani też od razu. Prawie wszyscy jednak cierpieć będą na poważne zaburzenia, przede wszystkim na białaczkę, która wielu spośród nich usmierci w ciągu 5 lub 10 lat. Dzieci urodzone z tych ludzi będą potworkami....

Taką oto „hipotezę roboczą” przedstawił niedawno grupie ekspertów, wśród których znajdowali się oficerowie sztabu głównego, technicy i przedstawiciele najwyższego szczebla administracji.

Warto jeszcze dodać, że bomba zrzucana na Paryż była tylko bombą o mocy 1 megaton... Niektóre bomby posiadają energie dziesięcio- a nawet dwudziestokrotnie większą. Największa z bomb strategicznych — bomba radziecka — posiada moc 60 megaton...

Ludzkość musi uczynić wszystko, aby tego rodzaju fantazje pozostały na zawsze w dziedzinie iluzji i nigdy nie stały się rzeczywistością.

ZMARŁ

KONRAD ADENAUER

....Churchill nazwał go największym niemieckim mężem stanu po Bismarcku. On sam nie lubił tego zestawienia. Wiele ich — co prawda łączyło. Obaj wyznawali zasadę, że trzonem państwa, podstawą jego polityki, strażnikiem i nosicielem niemieckiej racji stanu, jest siła zbrojna. Zmieniały się jej nazwy: Keiserlicheswehr, Reichswehr, Wehrmacht, Bundeswehr — ale istota funkcji nie tylko militarnych, lecz przede wszystkim politycznych, pozostawała ta sama.

Obaj też holdowali maksymie, że nie ma wroga na prawicy. Utożsamiali zapatrywania prawicowe z patriotyzmem, lewicowe ze zdradą Vaterlandu. Odbudowa aparatu państwowego przy pomocy hitlerowców, często ujawnionych zbrodniarzy wojennych, nie rodziła żadnych konfliktów sumienia u katolika Adenauera. Pożegnalną wizytę u papieża odbył jeszcze wraz z Głobkiem, którego wybronił przed ludzką sprawiedliwością. Ale Bismarcka i Adenauera więcej dzieliło niż łączyło. Reprezentowali różne linie imperializmu niemieckiego. Inny był ich stosunek do Rosji, inny do Francji. Z owych różnic wynikają zasadnicze konsekwencje. Ale nade wszystko dzieli ich rezultat. Bismarck zjednoczył Niemcy, Adenauer utrwalił ich rozbiecie." (Z „Polityki”).



nieprzewidziane i nieuniknione katastrofy

obserwacji zauważyli że: „międzynarodowa pomoc, która została udzielona ludności Skopje w pierwszej fazie odbudowy, była cenna nie tylko z punktu widzenia materialnego, ale również ze względu na społeczne następstwa, ze względu na oddziaływanie, jakie wywierała na morale ludności”.

Zaobserwowano, że pomoc udzielona bezpośrednio w pierwszym momencie po katastrofie jest najcenniejsza. Chodzi o to, żeby opanować nieprzemysłaną działalność ludności, pozostającej jeszcze pod wpływem przerażenia, żeby „na zimno” zorganizować pierwszą fazę pomocy (zn. ratowanie rannych, grzebanie zmarłych, zaspokojenie potrzeb szczególnie w zakresie bezpieczeństwa i zdrowia pozostałych przy życiu mieszkańców). Dlatego właśnie została powołana do życia jeszcze jedna organizacja pod nazwą UNETAS (Służba Pomocy Technicznej N.Z. w wypadkach nagłych). W wypadku katastrofy można będzie natychmiast przerzucić ekipy techniczne i lekarские, pozostające w dyspozycji UNETAS. Jest to niewątpliwie krok naprzód w zakresie udzielania pomocy ludziom dotkniętym klęską żywiołową. W ten sposób zapobiegnie się wielu nieprzemysłanym posunięciom i komplikacjom, które zdarzały się dotychczas.

W styczniu i w marcu 1966 r. gwałtowna ulewa w Rio de Janeiro spowodowała osunięcie się zwałów ziemi, które zasypały wiele domów szczególnie w najbardziej niebezpiecznej dzielnicy miasta. 4250 mieszkań uległo zniszczeniu, 250 osób poniosło śmierć.

foto. „Kurier Unesco”



Wspomnienia obozowe z Dachau numeru 31414

(Dokończenie)

W 1944 r. nastąpiła nagle duża zmiana w sytuacji więźniów-Polaków na lepsze. Mianowicie na żądanie generała Sikorskiego jeszcze w 1942 r. otrzymywaliśmy od Międzynarodowego Czerwonego Krzyża paczki żywnościowe, jak również z tzw. Generalnej Guberni. Pod koniec 1944 r. SS-mani zmienili taktykę wobec nas i zaczęli nas lepiej traktować. My Polacy zaś uprawialiśmy sabotaż na wielką skalę. We wszystkich oddziałach pracy sabotowaliśmy wykonanie robót. Starsi SS-mani trochę bardziej po ludzku zaczęli się z nami obchodzić, ale młodsi z „Hitlerjugend” bili nas przy lada okazji. Pamiętam jak pewnej niedzieli poszedłem na blok polskich księży, gdzie odwiedziłem znajomego ks. prałata Teodora Korcza i innych. W tym właśnie czasie wpadł gestapowiec, zastępca blokfuhrera, kazał nam wszystkim stanąć na baczność, sam zaś zwrócił się najpierw do grupy pastorów ewangelickich, mianowicie do pastora Henryka Wegnera, do pastora Alfreda Hauptmana, do pastora Karola Minknera i innych. Pytał jak nazywają się i pienieł się z wściekłości, że mając niemieckie nazwiska są Polakami. Mówił im: „und ich heisse Baranowski und wenn ich wusstete, dass in meinen Adern auch nur ein Tropfen polnischen Blutes fließt, so würde ich mir die Adern aufschneiden” (a ja się nazywam Baranowski i gdybym wiedział, że w moich żyłach płynie choćby jedna kropla polskiej krwi, to przeciąłbym sobie żyły”). Potem po kolei pytał polskich księży katolickich, ile który miał kochanek. Katolicy księży oświadczyli, że ich nie mieli, za co każdy z nich zainkasował po kilka siarczystych policzków.

Pułkownik Józef Kokozka codziennie wieczorami tłumaczył nam sprawozdania OKW tzw. Heeresberichte, tak że byliśmy trochę zorientowani w aktualnej sytuacji na froncie. Prowadziliśmy różne pogadanki polityczne. Ja osobiście przychodziłem do współtowarzyszy niedoli z różnymi zmyślnymi, lub rzeczywistymi, wiadomościami o zbliżającej się klęsce Niemiec a na bloku 18 rotmistrz Prawdzic-Budziński również omawiał z nami sytuację wojenną. Cieszyliśmy się z każdej porażki szwabów i z ciosów, jakie dostawali na wschodzie i zachodzie. Poza tym opowiadaliśmy sobie wzajemnie, cośmy znowu szwabom napsocili i tak podnosiliśmy się na duchu. Wszędzie, gdziekolwiek się tylko dało uprawialiśmy sabotaż i bierny opór. Ówczesny kandydat Paweł Grützacher, przedwojenny dyrektor cukrowni w Chełmży na Pomorzu, miał możliwość zdobywania różnych ciekawych wiadomości, którymi dzielił się z nami. Z nadzieją na lepsze jutro zachwał swój „Blutwurst” i „Gemusewurst” oraz piwo w kantine. Swoją niezachwianą postawą wszystkich nas podtrzymywał, aż pewnego dnia sam

zalał się, mianowicie kiedy otrzymał wiadomość, że zginęła tragicznie jego córka Wiesia. Odąd stał się innym człowiekiem.

Najgorszym z więźniów-szpicielów był niejaki Wernike czy Bernike (czarny winkiel) i ten o wszystkich naszych schadzках czy rozmowach donosił Bachowi, który się potem na nas w straszny sposób mścił. W 1944 roku kierownikiem rzeźni obozowej dla ss- „metzgeri” był Franciszek Walkowiak z Poznania. Wciągnął on do pracy w rzeźni pastora Gastparęgo i kilku innych Polaków. Wówczas powodziło mi się niezłe, bo wymienieni przynosili mi w spodniach po kawałku kielbasy, wykradając Niemcom co i gdzie się dało. Bombardowanie miasta Monachium przez lotnictwo alianckie wywołało w nas ogromną radość. Miasto legło prawie całkowicie w gruzach. SS-mani zapytali nas, kto z nas poszedłby jako ochotnik do „bombenkommando”. Zgłosiło się nas coś 1000 osób, przeważnie Polaków. Mieliśmy za zadanie odgrzebywanie zasypanych mieszkanieców miasta spod gruzów. Podczas odgrzewania przechodziła pewna stara Niemka mająca ok. 80 lat podpierająca się laską. Pytała się SS-mana, czy to my jesteśmy tymi bandytami, którzy rzucili bomby. SS-mani z uśmiechem odpowiedzieli, że tak. Ta babcia wtedy ze złością wskazała na nas i żądała, aby nam wszystkim pucinano głowy. Aczkolwiek praca przy odgrzewaniu była niebezpieczna, to jednak zgłaszaliśmy się ochotniczo, ponieważ uratowani mieszkańcy raczyli nas z wdzięczności różnymi wiktuałami, jak sardynki lub wódka.

W końcowej fazie wojny jawnie już zaczęliśmy urządzać wieczorki, pogadanki i polskie przedstawienia teatralne, za zgodą Weissa. Artysta-skrzypek Kubelk

nie zapomnimy...

z Katowic zorganizował polską orkiestrę i urządzano koncerty muzyki polskiej. Działy się wprost paradoksalne rzeczy, gdyż przed SS-manami zespoły nasze śpiewały „Warszawiankę” „Rotę” i inne polskie pieśni patriotyczne. SS-mani albo nie rozumieli, co śpiewamy albo też przymykali oczy na wszystko. W każdym bądź razie stawialiśmy się coraz bardziej odważni i pewni siebie.

Niemiecki szpicel Bernike czy Wernike coś wywąchał i doniósł o wszystkim gestapowcowi Oberscharfuhrerowi Bachowi, Bach wezwał do siebie w nocy blokowego, którym był wówczas Walter Hnaupek i przesłuchał go. Hnaupek był co prawda mężem zaufania władz obozowych ale jako Polak na tym przesłuchaniu u Bacha zbagatelizował całą sprawę mówiąc mu, że to są maniacy i że wskutek długoletniego pobytu w obozie pomieszało im się w głowach. A myśmy faktycznie przygotowywali się na jakiś wielki czyn, mianowicie planowaliśmy pewnej nocy rozbroić wachmanów i opa-

nować obóz. Niemcy po twierdzeniu Hnaupeka, że to wszystko bujda i bzdura, nieco się uspokoiłi. Bach jednak jeszcze przywołał do siebie komunistę-Niemca, starszego izbowego Hansa Schadego z 18-go bloku 3-iej izby, aby się jeszcze przekonać, ile jest prawdy w donosach szpicla Wernikego. Schade jednak zaprzeczył wszystkiemu i rozwiął do reszty wątpliwości Bacha.

Po wojnie ukazała się w Anglii książka napisana przez b. konsula Grabińskiego, również więźnia Dachau, pt. „Dyplomacja w Dachau”, w której do książki oskarża Hnaupeka o to, że był konfidentem i że dlatego został starszym blokowym bloku 16. Ja jednak z całą stanowczością muszę stwierdzić, że Hnaupek absolutnie nie mówił Bachowi nic o naszej działalności, przeciwnie, jak tylko mógł, sabotował zarządzenia władz obozowych i właśnie on informował o wszystkich zamierzeniach SS-manów względem nas. W obozie panowała między więźniami ogromna solidarność bez względu na przekonanie i pochodzenie, wszyscy byliśmy sobie bliscy, dzieliliśmy się wszystkimi spostrzeżeniami i debatowaliśmy wspólnie nad wydarzeniami wojny.

Do Dachau przywieziono też m.in. komunistę-Polaka z Francji nazwiskiem Ignacy Ratajczak. Razem z komunistami przywieziono z Francji księdza Franciszka Cegiełkę, który był rektorem Polskiej Misji Katolickiej w Paryżu. Mimo, że we Francji Ratajczak i ks. Cegiełka kłócili się z sobą niejedną raz, to w obozie hitlerowskim zgadzali się jak nigdy przedtem. Wszyscy mieliśmy tylko jedno pragnienie: aby szwabów jak najprędzej tzw. szlag trafił i abyśmy się wydostali jak najprędzej z tej okropnej niewoli. Ks. Cegiełka był w obozie głównym tłumaczem języków francuskiego, greckiego i innych.

W końcowym okresie nastąpiło pewne rozluźnienie i SS-mani stali się już ślepi i głusi na nasze poczynania, pewnie już przeczuwali swoją klęskę. Myśmy żyli coraz żywszą nadzieją szybkiego wyjścia na wolność, gdyż meldunki o nowych klęskach armii niemieckiej docierały coraz częściej do obozu.

A nareszcie nastąpił ten upragniony dzień i w niedzielę dnia 29-go kwietnia 1945 r. generał Patton ze swoją 7 armią wkroczył w rejon Dachau i oswobodził obóz koncentracyjny. Krematoria jeszcze dymiły, a witały ich tysiące wychudzonych, wycieńczonych więźniów i na ten widok straszliwy żołnierze amerykańscy zadrżeli ze zgrozy. My zaś z nieopisaną radością płakaliśmy i śmiaaliśmy się na przemian, nie byliśmy wprost w stanie ogarnąć tej szczęśliwej dla nas chwili. Między tysiącami więźniów jako jeden z pierwszych również z nieopisanym entuzjazmem witałem naszych oswobodzicieli.

Dzień ten do końca życia pozostanie w naszej pamięci. —

„Muzulmanin 31414”

Reprodukowane zdjęcia pochodzą z albumu będącego własnością autora wspomnień. Album został wydany w 1945 r. przez Międzynarodowe Biuro Informacyjne byłego obozu koncentracyjnego w Dachau.

Plac apelowy i kuchnia obozowa



Krematorium — wkładanie zwłok do pieca



UWAGA — DZIECKO NA DRODZE



Za moment pryśnie czar zabawy w „hula-hup”, przyjdzie ochota, aby skoczyć na jezdnię i zobaczyć jak jadą samochody...

Co dziennie jesteśmy bezradnymi słuchaczami i czytelnikami tragicznych informacji o liczbie ofiar powodowanych wśród dzieci w rezultacie wypadków drogowych. Po informacjach następują — z reguły krótkie, lakoniczne komentarze wyjaśniające i jednocześnie usprawiedliwiające ten czy ów, konkretny przypadek: nadmierna szybkość, zabawa na jezdni, nieuwaga rodziców itd. Wydaje się, że nadeszła już pora, by z gęszcza tych wszystkich przypadków wyciągnąć radykalne wnioski, które stałyby się podstawą do generalnej batalii o wyeliminowanie dzieci ze szlaków zarezerwowanych dla rosnącej wciąż liczby pojazdów i tym samym — do zapewnienia dzieciom — jeśli nie całkowitego — to przynajmniej maksymalnego bezpieczeństwa. Niedawno podróżowałem samochodem po wielu krajach europejskich. Jadąc nie tylko po autostradach, ale i wielu szosach i drogach lokalnych, można na pierwszy rzut oka odnieść wrażenie, że w Austrii, Szwajcarii, Francji, Niemieckiej Republice Federalnej, we Włoszech, Czechosłowacji czy innych krajach — w ogóle nie ma dzieci. A jednak i tam proporcjonalnie do natężenia ruchu — może mniej aniżeli u nas — giną dzieci i sytuacja ta w równym stopniu co u nas alarmuje prasę, radio i telewizję. Szukając wyjaśnienia problemu, a nie poszczególnych wypadków, sięgnąłem do publikacji policyjnych i socjologicznych.

Oto kilka narzucających się wniosków. Na przykład w Paryżu, połowę ofiar stanowią dzieci w wieku od 5 do 9 lat, przy czym liczba ich w śródmieściu jest równa liczbie ofiar na paryskich przedmieściach, gdzie natężenie ruchu jest mniejsze. Najwięcej wypadków śmiertelnych notuje się

między godziną 18.00 a 19.00 kiedy dzieci wracają tam ze szkoły do domu.

Statystyki wskazują, że tylko 24 procent wypadków w śródmieściu Paryża powodują kierowcy, a 76 procent następuje z winy dzieci. Stosunek ten maleje po stronie kierowców na przedmieściach. Są oni sprawcami wypadków tylko w 15 procentach, podczas gdy dzieci powodują 85 procent wypadków.

Analiza wymienia 6 zasadniczych przyczyn wypadków drogowych powodowanych przez dzieci. Oto one: przekraczanie drogi przy czerwonym świetle i mimo ostrzeżeń policjanta, przekraczanie jezdni w miejscu niedozwolonym, zabawy na jezdni, nagłe wtargnięcie na jezdnię i wreszcie lekkomyślne przechodzenie z trotuaru na trotuar. Socjologowie twierdzą, że przyczyny wypadków wśród dzieci mają swoje podłoże w psychice dziecka. Polegają one na braku świadomości niebezpieczeństwa tak bardzo charakterystycznego wśród dzieci.

Ciekawe dane na temat nauczania dzieci zasad bezpieczeństwa i przystosowywania się do ruchu drogowego zawarte są w ankiecie przeprowadzonej przez Laboratorium Psychologii Dziecka w Sztokholmie.

Obserwując 400 przypadków przechodzenia jezdni przez dzieci w różnych dzielnicach, ankieta zwraca uwagę, że chłopcy są mniej uważni od dziewczynek, że między 4 a 7-mym rokiem życia nie widać wyraźnego rozwoju poczucia bezpieczeństwa bądź zagrożenia, że dziecko w towarzystwie starszej osoby jest całkowicie pozbawione poczucia zagrożenia i odpowiedzialności za swoje własne reakcje. Uwaga dziecka i jego

reakcje mają charakter wybitnie spontaniczny. Pojawiają się one jako rezultat świadomości wraz z pewną dojrzałością, która nie występuje w wieku przedszkolnym. Dlatego nigdy nie wiadomo, czy dziecko, które po raz pierwszy i 10-ty uważnie przejdzie przez ulicę, za jedenasty raz nie zrobi niebezpiecznego kroku.

I jeszcze jeden ważny element. Percepcja wizualna dziecka jest znacznie mniejsza od percepcji osoby dorosłej. Dorosły tzw. kątem oka widzi niebezpieczeństwo z lewa i z prawa, czego nie jest w stanie dostrzec dziecko.

Ta sama ankieta ustala, że dzieci w wieku od 4 lat do 6-ciu nie znają ani jednego znaku drogowego, a każdy z tych znaków rozumiany jest przez nie, jako sygnał do przekroczenia jezdni biegiem. Na świadomość taką nie ma wpływu fakt posiadania przez rodziców samochodu. Rozpoznawanie znaków drogowych rozpoczyna się dopiero w wieku od lat 8 — w szkole. Wniosek ogólny nasuwa się sam. W wieku do 9 — 10 lat nie można polegać na poczuciu bezpieczeństwa dzieci w ich zetknięciu się z zatłoczonymi ulicami i szosami.

Wnioski te i spostrzeżenia mają posłużyć do usprawnienia i zróżnicowania metod nauczania dzieci zasad bezpieczeństwa ruchu drogowego w Szwecji.

Spełnią one swe zadanie jeśli choć w części posłużą i naszym rodzicom, jak również instytucjom zajmującym się tymi problemami. (mr.)

Nawet ostrzegawczy klakson auta nie jest w stanie przerwać walki, a co będzie jeżeli klakson nie zabrzmiał...



Jeden nieuważny krok lub moment zagapienia i z kilkumetrowej wysokości prosto pod samochód. Fot. K. Sędzikowski





W pogoni za złotym kruszcem

...Kilka nędznych z trzciny i liści palmowych skleconych szalasów na sporej polanie. Pośrodku wielkie wygaszone teraz palenisko. Na jednej z kłoci dwie małe czarnowłose matki ciekawie obserwują nieznaną w tej puszczy widowisko. Żelazni Hiszpanie i kilku półnagich Indian z Panamy ostrożnie z bronią na podoporządku wychodzą na wysepkę. Wioszczyzna jest pusta. W prymitywnych szalatach sporo kukurydzy i orzechów kakaowca, zresztą niekwestionowane dżony z jakimś napojem, maty, skóry zwierząt leśnych, tu i ówdzie drewniana dziada, parę luków. Ni śladu złota i kosztownych ozdób. Pizarro kłmie, lecz jego ludzie nie myślą w tej chwili o bogactwie, zajęci pakowaniem w torby jada.

Gdzieś z niedaleka w puszczy rozlega się gardłowy, przeciągły i technący melancholią głos. Hiszpanie przycają się u szalasów. Jeden z ich Indian przytyka dłonie do ust i wydaje podobny,

dlugo trzepocący w powietrzu dźwięk. Francisco czyni ręką znak. Drużyna rozsiada się niedbale, ale czujna i gotowa do skoku. Mija parę minut. I wtedy jęklące kwilenie cisze, lecz z bardzo bliska dochodzi do uszu konkwestadorów. Panamczyk znów podnosi dłoń do warg. Bez najmniejszego szelestu, wyrosło wnet na polance kilka nągich postaci. Płochliwa gromadka mieszkańców leśnej osady zbliża się lekliwie. Liczba ich rośnie. Pizarro zaczyna się niepokoić, ale właściwie nie ma powodów, Indianie podchodzą bez broni. W ich spojrzaniach bojaźń miesza się z ciekawością, która wreszcie zwycięża.

Na czoło gromady występuje niski mężczyzna, o włosach brudno-białych, widocznie szef klanu. Indianin uśmiecha się, krzywi dziuacznie i nagle z ust jego wybuchą gwałtowny potok słów. Pizarro wyciąga dłoń. Dziki chwyt ją mocno i potrząsa po kilkakroć. Daremne są próby porozumienia, ale niedługo obie grupy łączą jak najlepsza komitowa. Na znaki, że Hiszpanie cierpią głód, paru Indian znika w lesie. Po kwadransie wracają z nareczkami owoców leśnych, ciemnym plastrzem pachnącego miodu. Jeden z żołnierzy szarpie Pizarra za ramię:

— Patrzcie, senior.

Indianka nosi na piersiach duży kawałek grubej blachy złota. Misterną sztuką jubilerską wyczelowane dziuacze zwierzę przypomina kartowatego ulebiłbada. Ozdoba pochodzi z południa, gdzie za ósmymi o dziesięć dni drogi stąd monarcha potężnego państwa Puitu postradał tron w walce z nieprzeliczoną masą wojowników Syna Stonca. Niewiele z opowiadań tubylców rozumieją Hiszpanie. Wiedzą, że złoto jest na południu. Andagoya zatem nie kłamał. Kiedy więc wreszcie porwócił Montenegro, przywołując spore zapasy żywności, nikt już nie mówi o Panamie.

Puerto del Kambre — Portem Głodu — nazwie Pizarro nie zidentyfikowane miejsce postoją na kolumbijskim pobrażu. Blisko trzymając się lą-

du, statek płynię na południe. Raz po raz Hiszpanie zatrzymują się, cehując nadbrzeżne drzewa i ustawiając różne znaki, które ułatwić mają Almagro połączenie się z główną siłą. Gęste mgły i przeciwna wiatry utrudniają żeglugę. Pizarro bacznie obserwuje ziemię, niecierpliwie wypatrując większej osady, gdzie można by nieco odpocząć i przede wszystkim zagrabie złoto. Z pustymi rękoma nie ma co wracać do Panamy. Przeciwnie ekspedycja pochłonęła cały majątek spółki — 20.000 castellanos de oro, tj. prawie sto kilogramów czystego złota. Łup, jak dotąd, jest mizerny. W niewielkich nadmorskich osadach, w opuszczonych chatach grabia Hiszpanie skromne tylko ilości drogokiego kruszcu. Znacznie częściej trafają na ślady kanibalskich uczt.

Wreszcie któregoś dnia przy ładnej pogodzie przybijają znouu do lądu. Brzeg jest w tym miejscu łatwo dostępny, a opodal na sporym wznieśieniu widać znaczną opalsadowaną osadę. Mieszkańcy uciekli. Hiszpanie znajdują duże zapasy jada i nareszcie większą ilość złotych ozdób. Pizarro postanawia zatrzymać się tu na dłuższy odczynek. Na lustrację okolicy wysyła z nieduzym oddziałem Montenegro.

Atak nastąpił zniecka. Pod osłoną gęstych krzaków porastających wzgórze, Indianie dotarli pod samą osadę. W gorące południe ich krzyk wojenny przerwał sjęstę Hiszpanów. Huk broni palnej nie tropi dzikich. Prymitywna broń tubylcza mierzy się śmiało z europejskim żelazem. Śmiertelna walka wręcz toczy się na stoku, wśród oguszającej wrzawy. Nadzy wojownicy już się wślizgują między pale częstokolu, już wchodzą do wioski. Pizarro siedem razy czuje ostry dotyk oszczepu, choć otrzymane rany są powierzchowne śmierć stoi blisko niego. Obrzyjni Indiani obalili na ziemię wodza białych, dusi go swym ciężarem. Drapeżne szpony dzikiego wojownika sięgają gardła Francisca.

W. K. OSTERLOFF

filatelistyka dla wszystkich



Poczta holenderska przygotowuje specjalną serię okolicznościową z okazji Międzynarodowej Wystawy Filatelistycznej „AMPHILEX — 67”, która odbędzie się w Amsterdamie w maju br. Nad wystawą objęła patronat Międzynarodowa Federacja Filatelistyczna — FIP. Serbia, na której umieszczono dawne znaczki holenderskie (typ: „znaczki na znaczki”), sprzedawana będzie wyłącznie na terenie wystawy łącznie z biletem wstępu. Znaczki drukowane na małych arkusikach po 10 znaczków.

Austria wydała znaczek dla uczczenia 125 rocznicy powstania słynnej Filharmonii Wiedeńskiej. Na znaczku organy, skrzypce i wieniec laurowy. Nakład 3,2 miliona egzemplarzy.

Malarstwo nadal modne! Poczta Republiki Niger emitowała trzyznaczkową serię przedstawiającą autoportrety sławnych mistrzów. Na znaczkach pokazano autoportrety Albrechta Dürera (1471—1528), Ludwika Davida (1748—1825) i Eugeniusza Delacroix (1798—1863). Malarstwo na znaczkach pocztowych stanowi dziś rozległy i kosztowny materiał. Może zainteresujący byłoby nieco

mniejszy zbiór „autoportretów na znaczkach pocztowych”. Wśród tych znaczków znalazłby się również autoportret Stanisława Wyspiańskiego wydany w 1958 roku.

Z okazji Światowej Wystawy w Montrealu poczta ONZ wyda 5 znaczków w walucie kanadyjskiej, które sprzedawane będą na wystawie oraz w Nowym Jorku i Genewie, z tym, że tylko na wystawie będą miały moc frankatury. Znaczki mają propagować główne hasła wystawy: „ziemia — ludziom”.

Juliusz Verne, znakomity autor powieści fantastycznych, upamiętniony został w sześcioznaczkowej serii wydanej przez Panamę. Nakład 20 tys. pełnych se-

rii. Błoczek w nakładzie 7,5 miliona sztuk.

Dla uczczenia 20-lecia działalności UNICEF poczta Republiki Togo wydała siedmionznaczkową serię okolicznościową. Na znaczkach pokazano dzieci różnych narodów i psy różnych ras. Dwa znaczki z tej serii przeznaczone na pocztę lotniczą. Na pozostałych znaczkach umieszczono godło UNICEF oraz nazwy raz pokazanych psów po francusku.

Poczta USA wydała znaczek z okazji stulecia Związku Farmerów. Na znaczku rolnik amerykański z lat 1870 z kosa, w głębi młyn wodny i most.

Jedna z firm nowojorskich — jak podaje prasa

Wytnij ten kupon. Opisz dokładnie sprawę w liście do redakcji, a otrzymasz bezpłatną poradę prawną.

— oferuje za 495 dolarów zestaw znaczków poświęcony tragicznej zmarłemu prezydentowi USA J. F. Kennedy'emu. Zestaw składa się z 225 znaczków zbiorczych, 50 — cietych i 41 błoczków wydanych przez 49 państw.

Wl. G.



POZIOMO: 1) używana dawniej karetka do przewożenia poczty, pasażerów i ich bagażu, 2) pasek skórzany, 3) okład lecnicy, 4) główna część mszy, 5) „korek” na trasie, 6) mogą być szkane, gumowe, metalowe albo... z kremem, 7) masa plastyczna służąca do formowania sztuksaterii, 8) powab, urok, 9) bryła geometryczna, 10) Indianin z rezerwu Arizony i Nowego Meksyku, 11) drzewo liściaste, 12) ranga z gwiazdkami, 13) po „do”, 14) arbiter, 15) góralska kamizelka.

PIONOWO: 1) uroczyste ogłoszenie podstawowych zasad, 2) zdobi ściany, 3) nadwodne budowle, których twórcami są bobry, 4) sprzęt sanitarny, 5) okres w dziejach, 6) udzielanie święceń biskupich, 7) miara pojemności, 8) autor „Saskich ostatnich”, 9) coś ze sztuceń, 10) przyjmowanie gości lub interesantów, 11) wstęp, przedmowa, 12) idąbło zbożowe, 13) ziomek, 14) ogłoszenie, zapowiedź, 15) często jest kłmą innym, 16) namiot pokryty skórą lub wołkiem.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem: „Krzyżówka nr 19”. Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda:

SZEŚĆ CHUSTECZEK DO NOSA ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 13

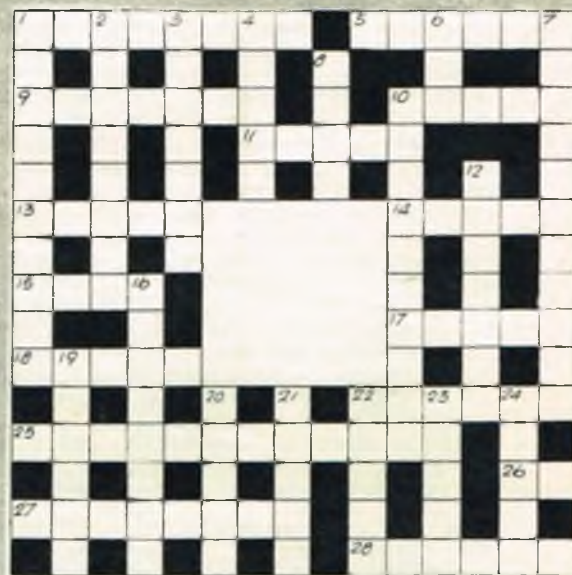
POZIOMO: kot, farad, nor, Tango, liga, Sara, Batory, kolega, Krak, bila, aorta, par, Gabon, tik. **PIONOWO:** korona, Kapá, targ, mitra, tarka, osoba, trele, lak, Goa, Ali, aga, grabie, opat, trok.

Uwaga Czytelnicy — redakcja prosi o przysłanie potwierdzenia odbioru nagród.

UWAGA! W krzyżówce nr 18 omyłkowo opuszczono znaczenia wyrazów pionowych. Podając je poniżej, przepraszamy Czytelników i przedłużamy termin nadsyłania rozwiązań o tydzień.

Znaczenie wyrazów **PIONOWYCH:** 1) warzywo, 2) skutek, 3) ptak czczony w starożytnym Egipcie, 4) gaz szlachetny, 5) duma pawia, 6) chroni głowę żołnierza, 7) osmioosobowy zespół, 8) odtwarza muzykę z płyty, 10) w świecy, 15) był atrakcją Nepalu, 16) stan w USA, 18) zespół aktorski, 19) ranga z wężykiem, 21 kwiat jesienny, 22) skrzydłata złodziejka, 24) pierwiastek promieniotwórczy, 25) owad, 28) kuzyn strusia, 29) rytmiczny płas, 32) chęć wybicia się, 33) przepływa przez Leningrad, 34) krzew egzotyczny, 35) ceremoniał, 40) najsylniejszy rotterdamczyk, 41) napój alkoholowy, 43) pracuje na roli, 44) biblijny bratobójca, 45) stopień, ocena, 46) stolica jednej z republik radzieckich, 47) od 21 czerwca.

K
R
Z
Y
Ż
Ó
W
K
A
Nr
19



Nagrodę w postaci **PRZYBORÓW DO MANICURE** wylosowała p. Teresa Höffner — Jarosław, ul. Słowackiego 1, II p.



NASZA RODZINKA

Pieśń o domu

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, skroś srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe lzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk, i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co wśród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swym ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!...

MARIA KONOPNICKA

Kotysanka warszawska

Warszawa to moje miasto
i mojej Małgorzaty też.
To miasto — to nasze gniazdo
od stóp po czuby wież.

Jestem jak gołąb szarobury,
któremu bieleją pióra.
A śmigłą jaskółką znad Wisły
jest moja córka.

Dla mojej córki — jaskółki,
gniazdo dzieciństwa tu lepiej
z cegieł, zieleni i kwiatów,
jak tylko umiem najlepiej.

Nieraz nad miastem szły chmury,
ogień zaglądał do okien.
Oby już nigdy nie świecił
w oczy — mojej szarookiej.
Noc już zapadła — więc nuce,
nim słońce wzejdzie rankiem,
dla wszystkich w Warszawie dzieci
kotysankę.

Śpijcie, malutkie, spokojnie.
W kącie śpi ćma i pajak...
Nic snu waszego nie spłoszy,
wasi ojcowie czuwają.

TADEUSZ KUBIAK

Jacek i Agatka



Jacusi i Agatka to przecież nasi dobrzy znajomi. Zjawiają się często w telewizorach, opowiadają śmieszne historie, czasem się sprzeczną, czasem nie, a później mówią grzecznie wszystkim dzieciom „dobranoc” i sami też idą spać.

Autorką tekstów dla Jacka i Agatki jest autorka licznych książek dla dzieci Wanda Chotomska. Dzisiaj podajemy Wam w skrócie jedną z przygód Jacusia i Agatki pt.

RYBY

JACUŚ:

Tata poszedł po rybki! Tata poszedł po rybki! Hurra!

AGATKA:

A właśnie, że tata wcale nie poszedł po rybki, tylko na pocztę!

JACUŚ:

A właśnie, że po rybki, bo sam słyszałem, jak mówił do mamy, że po drodze kupi rybki... Jejku! Nie masz pojęcia jak się cieszę! Będę miał rybakarium! Będę miał rybakarium!

AGATKA:

Co będziesz miał?

JACUŚ:

No, rybakarium! Nie wiesz, co to jest?

AGATKA:

Nie wiem...

JACUŚ:

Jejku! Przecież rybakarium to jest taki szklany domek dla rybek!

AGATKA:

Nie żadne rybakarium, tylko — akwarium. I tata na pewno wcale nie kupi akwarium, bo akwarium kosztuje dużo drożej niż rybki.

JACUŚ:

A jak tata nie przyniesie akwarium, to w czym my będziemy te rybki trzymać, co?

AGATKA:

Nie mam pojęcia...

JACUŚ:

Może w umywalce?

AGATKA:

No wiesz! Jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś hodował rybki w umywalce! Po pierwsze — umywalka jest do mycia, a nie do trzymania rybek, a po drugie — rybki muszą mieć dużo światła i dlatego najlepiej się czują w szklanym naczyniu.

JACUŚ:

Piotrowski to trzymał rybki w takim dużym słoju... Bo on też z początku nie miał akwarium... Ale teraz już ma.

AGATKA:

Nie wiem, czy u nas w domu jest jakiś odpowiedni słoju...

JACUŚ:

A ten od kiszonych ogórków, co tu stoi, to by się nie nadawał?

AGATKA:

A z ogórkami co zrobisz? Przecież widzisz, że tu jest jeszcze mnóstwo ogórków...

JACUŚ:

Ogórki to ja mogę zjeść! I zaraz ich nie będzie.

AGATKA:

Wszystkie?

JACUŚ:

Wszystkie! Co do jednego! I jak tata przyjdzie z rybkami to słoju już będzie zupełnie pusty!

AGATKA:

A ty będziesz chory. Przecież nie można zjeść tyle ogórków na raz... O, tu jest pusty stoik... Nie wiem tylko, czy nie będzie za mały?...

JACUŚ:

Coś ty! Przecież rybki są maciupęńkie! Nie widziałas u Piotrowskiego! One takie malutkie jak szpileczki!

AGATKA:

Eee.. chyba trochę większe...

JACUŚ:

No to najwyżej takie jak agrafki... Ale większe to już na pewno nie... I ja im zaraz naleję wody... Agatka, ale my nie powiemy tym rybkom, że to nie jest akwarium, tylko stoik, co? Bo może by im było przykro?

AGATKA:

Głuptas jesteś! Przecież i tak nie rozumiemy, co się do nich mówi...

JACUŚ:

A właśnie, że to nieprawda, bo rozumieją! Bo Piotrowski mówi, że jak przy karmieniu woła — cip cip! — to one zaraz wypływają na wierzch...

AGATKA:

Cip-cip to się woła na kury, a nie na rybki, wiesz? I one wcale nie wypływają dlatego, że Piotrowski woła na nie cip-cip, tylko dlatego, że widzą jedzenie. I już mniej więcej nie zagaduj, tylko zajmij się urządzeniem akwarium, bo tata zaraz wróci. Piasku nie mamy ale możemy położyć na dno parę kamyków i te muszelki, co przywieźliśmy znad morza...

JACUŚ:

Muszelki są u ciebie.

AGATKA:

Wiem... Zaraz je przyniosę... (wychodzi)

JACUŚ:

Położymy muszelki, położymy kamyki i naskubimy trochę paproci, żeby miały zielono... Agatko! Rybki idą! Tatus wraca z rybkami...

AGATKA:

Bardzo jestem ciekawa, jakie to rybki kupił tatus? Bo mnie się najbardziej podobają welonki i pawie oczka... Chociaż japońskie też nie są brzydkie...

(Jacusi wraca niosąc pudełko szprotek, Agatka nie odwracając głowy pyta):

No i co? No i co? Jakże tata kupił rybki?

JACUŚ:

Zobacz...

AGATKA:

Szprotki w oleju... (pociąga nosem) yyy... bo tata wcale nie poszedł po ryby dla nas do akwarium, tylko po rybki dla siebie na kolację... yyy...

Burliwe morze przy Rozewskim Przyładku stało się postrachem sterników. Coraz to więcej okrętowych wraków czerniało w pianach pod urwiskami kępy. Najgroźniejszą zaś pułapką był wielki granitowy głaz, wynurzający się z fal, nazywamy go po dziś dzień mianem „Frank”.

Frank — tak się ongiś zwał dobry żeglarz — bogaty kupiec szwedzki — utracił podczas zarazy całą swoją rodzinę z wyjątkiem najmłodszej córki, jasnowłosej Krysty, która odąd towarzyszyła ojcu we wszystkich żeglugach po Bałtyku.

— Przynosisz mi szczęście, moja córko — mawiał brodaty kupiec. — Nigdy jeszcze tak mi się nie darzyło jak teraz, kiedy ty jesteś przy mym boku.

Sprzyjały też Frankowi gwiazdy i wiatry, jakby zaklęte pieśnią jego córki. Mewy siedziały na masztach, by posłuchać śpiewu jasnowłosej dziewczyny. Stary Frank gładził siwiejącą brodę i powtarzał wesoło:

— Miłuję cię morze, córko moja. Pókiś ty na pokładzie, nic nam nie grozi.

Za wcześnie się cieszył. Nadeszły bowiem jesienne sztormy.

Okręty chroiliły się w przystaniach, omiatały gniewne wody pod Rozewiem, ale szwedzki kupiec, dufny w to, że córka szczęście mu przynosi, popłynął w nową podróż.

— Co mi tam sztormy i wiatry — śmiał się, kiedy gdańszczanie ostrzegali go, by pozostał w porcie. — Córka moja jest ze mną, a przy niej najgroźniejsza burza mi niestraszna.

I nie zwlekając kazał żeglarzom podnieść kotwicę. Wypłynęli na morze, minęli piaszczysty czub Kłeu. Okręt pod wydętymi żaglami dążył ku Kołobrzegowi.

Zapadła noc. W kajucie zapalono latarnię, a Frank, pochylony nad mapą, poprosił Krystę, by jak co dzień zaśpiewała mu którąś ze swych pieśni. Poslušna córka posłuchała ojcowskiej prośby.

Zaczęła nucić:

Wielka Niedźwiedzico,
okrętników matko,
świeć z mrocznego nieba —
żeglującym statkom.
Świeć z mrocznego nieba,
gwieźdnooka pani,
okręt ojca mego
prowadź do przystani.

Zasłuchał się w piosenkę sternik okrętu. Zadumał się, rozmarzył. Nie spostrzegł, że czarny obłok zakrył gwiazdę przewodnią. Nie spostrzegł, że Bałtyk poczyna podnosić grzbiet, żeżyc pienistą grzywę. Nie spostrzegł grożącego niebezpieczeństwa.

Nagle trzasnęła burta rozdarta granitowym głazem. Zachybotał okręt, zadął dziób wysoko w górę i począł tonąć. Woda z szumem wdarła się do ładowni i kajuty, zalała pokład. W ciemności rozległy się przerażone krzyki:

— Giniemy!
— Córo moja, gdzieżeś jest?
— Ojczy, ojczy...
— Ratujujcie!

Huk kipieli zagłuszył wołania. Zamknęła się wzburzona toń nad czubkami masztów. Na dno poszli okrętownicy. Z całej załogi ocalała jedynie jasnowłosa Krysta, którą fale wyrzuciły na rozewski brzeg.

Dziewczyna wspięła się na urwisko. Drżącymi rękami zaczęła zbierać gałęzie i chrust. Ułożyła stos, by ojcu i żeglarzom, jeśli uczepli się szczątków masztu walczą tam w ciemnościach z grzywaczami, wskazać drogę do lądu. Ale nie miała krzesiwa i hubki, aby rozpalić ogień, wołała więc wyciągając białe ramiona ku gniewnemu morzu:

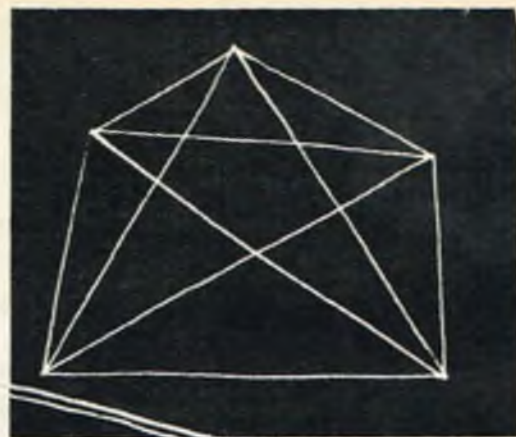
— Ojczy, ojczy!... Nie doczekała się odpowiedzi. Stary Frank razem ze swymi towarzyszami znalazł już grób na morskim dnie. Ale z chaty przy Lisim Jarze przyszedł, zwabiony nawoływaniem, młody rybak imieniem Fabisz. Zobaczył jasnowłosą, rozsłochaną dziewczynę, pomógł jej podpalić stos. Podszedł do niej, wysłuchał jej opowieści o rozbiciu, spierzchniętą dłonią otarł łzy toczące się z jej oczu.

— Nie płacz, miła — szepnął. — Chodź do mojej chaty. Nie zabraknie ci w niej niczego. Odpoczniesz, uspokoisz się, a jeśli zechcesz, będziesz mogła pozostać ze mną na zawsze.

Tak się też stało. Jasnowłosa Szwedka poślubiła kaszubskiego rybaka i została na Rozewskiej Kępie. I co nocy rozpalala na stromym urwisku ogień, aby czerwone jego płomienie, widoczne daleko na morzu, uchroniły zbłąkanych żeglarzy i rybaków od losu jej ojca, którego imieniem nazwany został ostry głaz, sterzący z białych pian.

Kiedy umarła, czynili to samo jej synowie i wnukowie.

F. FENIKOWSKI



? Kto potrafi bez oderwania ołówka od papieru narysować taką figurę?



Jak tu trafić do namiotu? — zastanawia się turysta. Może mu pomożecie i wyszukacie drogę, która zaprowadzi go do namiotu w środku koła.

Humor

RYBY

Małgosia zwraca się do mamy:

— Mamo, czy to prawda, że duże ryby żywią się sardynkami?

— Prawda — odpowiada mama.

— To w jaki sposób otwierają one pudełko?

KONKURS-ZABAWA Z NAGRODAMI

Wśród wyrazów w języku polskim są takie, w których ukryte jest „sto”. Na przykład: sto-pa, sto-larz itp. Są również takie wyrazy gdzie „sto” jest w środku lub na końcu wyrazu np. li-sto-pad, pro-sto, auto-sto-p itp. Więcej przykładów nie podajemy, bo przecież sami potraficie wyszukać takie wyrazy. I właśnie dlatego ogłaszamy nasz konkurs, który jest jednocześnie świetną zabawą.

Konkurs-zabawa polega na tym, żeby wyszukać najwięcej wyrazów ze „sto”. Przykłady podaliśmy. Teraz bierzcie kartki i kolejno wyszukujcie wyrazy ze „sto”. Potem napiszcie swoje imię, nazwisko oraz adres i prześlijcie w kopercie do redakcji „Rodziny” — Warszawa, ulica Wilcza 22 z dopiskiem „Konkurs dla dzieci”.

Dla tych dzieci, które wyszukały i napisały najwięcej wyrazów przeznaczymy LICZNE NAGRODY KSIĄŻKOWE.

ZAŻDROŚĆ

Mały chłopczyk stoi na ulicy i płacze. — Czemu płaczesz? — zwraca się doń przechodzień.

— Bo moi bracia mieli wakacje, a ja nie...

— A dlaczego ty nie miałeś wakacji?

— Bo... bo ja jeszcze nie chodzę do szkoły...

JAŚ I MAŁGOSIA

Jaś bawi się z siostrzyczką balonikiem. Jako dobry braciszek, nadmuchał Małgosi balonik. Ale nagle zerwał się silny wiatr, balonik uleciał, a Jaś rozplakał się.

Trzech zawodników strzelało do trzech różnych tarcz. Każdy z nich miał inne trafienia. Nie wiadomo jednak, który z nich zwyciężył i zdobył najwięcej punktów. Spróbujcie to sami obliczyć.



— Dlaczego płaczesz? — pyta Małgosia. — Przecież to był mój balonik?!

— Tak, ale w środku było moje powietrze!

RYСУNEK

Ciocią ogląda rysunki swego siostrzeńca. Siostrzeniec ładnie rysuje i maluje. Wśród kartonów znajduje się jeden zupełnie czysty.

— To też ma być rysunek? — dziwi się ciocia. — Przecież tu nic nie widać!

— Niech ciocia zobaczy podpis. To się nazywa: „Białe niedźwiedzie ukryte w śniegu”.

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Pan Henryk R. ze Szczecina. Cieszymy się bardzo, że mamy w Panu wdzięcznego Czytelnika i przyjaciela. Ma Pan rację, że nie ma istotnych różnic między rzymskokatolicyzmem a polskokatolicyzmem. Mamy ten sam mszał, rytuał, śpiewnik kościelny, a co najważniejsze — ten sam katechizm katolicki. Pyta Pan, co nas dzieli? Niezbyt przesadzimy, gdy odpowiemy, że to samo, co dzieliło przed dwudziestu wiekami Synagogę Mojżeszową od chrześcijaństwa. Nie były to różnice zasadnicze, skoro Apostołowie uczęszczali do jerozolimskiej świątyni i zachowywali wszystkie dotychczasowe przepisy obrzędowe. U podstawy podziału leżał pogląd obydwóch stron na istotę religii, a jest nią związek człowieka z Bogiem. Wszystko, co pomaga temu powiązaniu, jest słusne, a wszystko co mu przeszkadza, jest niesłusne. Zdaniem chrześcijan rytualne przepisy Mojżeszowe przeszkadzały więc należało je usunąć. Również polskokatolicyzm patrzy się na religię tak, jak pierwsi chrześcijanie. To, co przeszkadza — np. łacina we Mszy św. — należy usunąć i na to miejsce zaofiarować coś, co pomaga.

Słusznie Pan zauważa, że obydwa katolicyzmy, rzymski i polski, mogą i powinny ze sobą jakoś współżyć, powinny znaleźć drogę do dialogu. Zgadza się z tym, ponieważ nie ambicje i racje prestiżowe, lecz względy religijne powinny kierować pracą obydwóch Kościołów głoszących przecież tę samą Ewangelię Jezusa Chrystusa. Mimo różnic zdań w niektórych sprawach można i trzeba traktować się z szacunkiem. Tylko czyny, szczerze przykłady miłości chrześcijańskiej, a nie piękne słowa mogą ugruntować tę miłość wśród wierzących katolików obydwóch wyznań.

Dziękujemy za życzenia i serdecznie pozdrawiamy.



Pani Katarzyna D. z Jarosławia. Z prośbą o „broszurkę” potrzebną do celów, o jakich Pani pisze, należy się zwrócić do miejscowego klasztoru oo. bernardynów.



Pan Czesław J. ze Szczecina i Bogdan S. z Warszawy. W Kościele Polskokatolickim zakonów (męskich czy żeńskich) nie ma. Gdy ktoś należy do wyznania rzymskokatolickiego i pyta nas o adresy klasztorów, odsyłamy do najbliższego proboszcza rzymskokatolickiego, który w tej sprawie chyba najlepiej doradzi. Kto ciekaw, ile jest w Polsce zakonów i klasztorów, niech się zwróci do Urzędu Prymasowskiego w Warszawie przy ul. Miodowej.

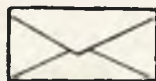
Gdy mowa o polskokatolickich poglądach

na życie zakonne, należy wziąć pod uwagę także poglądy chrześcijan z pierwszych trzech wieków chrześcijaństwa. Autor „Listu do Diogneta” piszący pod koniec II w. świadczy, że chrześcijanie za jego czasów nie różnili się niczym od współczesnych (5, 1, 4) a Tertulian ok. 195 r. w książce pt. „Apologetyk” bronił chrześcijan przed zarzutem wrogości dla świata w następujących słowach: „Nie gardzimy tedy żadnymi działaniami rąk Bożych, ale panujemy nad sobą, by nadmiernie lub przewrotnie ich nie używać... My chrześcijanie nie żyjemy na ubożcu tego świata, bywamy jak wy, na forum, w łaźniach, warsztatach, sklepach, na targach i placach publicznych — jesteśmy marynarzami, żołnierzami, rolnikami, kupcami, oddajemy na wasze usługi naszą pracą i wytwórczość...”

Życie zakonne w chrześcijaństwie pojawiło się dopiero w VI w. i to najpierw w formie anachoretyzmu czyli pustelnicstwa — życia z dala od osiedli ludzkich. Pierwsi sławni pustelnicy pojawili się na terenie Egiptu (św. Paweł z Teb, zm. 341; św. Antoni zm. 356; św. Pachomiusz, zm. 346 r.), gdzie od czterystu lat — a więc jeszcze przed powstaniem chrześcijaństwa — istniały „laury” i „cenobia” czyli klasztory mnichów pogańskich zwanych terapeutami. Dokładny opis ich życia zostawił filozof żydowski z Aleksandrii, Filon (zm. ok. 41 r. n.e.) w dziele pt. „O życiu kontemplacyjnym”. Owi terapeuci wyrzekli się swej własności, szli na odludzie, by im nie przeszkadzano w rozmyśleniach, uprawiali cnotę wstrzemięźliwości, prowadzili życie ascetyczne. Czytamy u Filona, że każdy z mnichów (pogańskich) posiadał oddzielny przybytek (pustelnię), od rana do nocy poświęcał się umartwieniu i układał pieśni na cześć Boga. „Niejedni z nich, którzy płoną większym mądrości pragnieniem tylko co trzeci dzień myślą o pożywieniu, inni znowu... co sześć dni zaledwie kosztują pożywienia... Wśród nich znajdują się też niewiasty, a są to po większej części sędziwe dziewice. Strzegą zaś swego dziewictwa nie z przymusu, jak niektóre greckie kapłanki, ale z wolnej woli, z zapалу i pragnienia mądrości”.

Podkreślamy, że ruch zakonny w chrześcijaństwie powstał wtedy, gdy był potrzebny. Stało się to w IV wieku. W średniowieczu zakony odegrały wielką, pozytywną rolę w wielu dziedzinach życia kościelnego i religijnego a także w dziedzinie ogólnoludzkiej kultury. Nadchodzi jednak zmierzch życia zakonnego, przynajmniej w dotychczasowej jego formie. Dlatego Kościół Polskokatolicki — doceniając wartości religijne i humanistyczne niektórych zakonów — nie podejmuje tego tematu z entuzjazmem.

Dziękujemy za pozdrowienia i pozdrawiamy wzajemnie



Pan F. Jasiński — Tytułomania w jakimkolwiek kościele występuje — nie jest rzeczą godną pochwał ani naśladowania. Zjawisko to występuje — rzecz jasna — nie tylko w Kościele Rzymskokatolickim,

Kościół Polskokatolicki istotnie przejął szereg zwyczajów, nabożeństw i obrzędów liturgicznych z Kościoła Rzymskokatolickiego, które nie mają pełnego uzasadnienia doktrynalnego. To „naśladownictwo” w rzeczach nieistotnych posiada ten sam charakter, co „naśladownictwo” pewnych zwyczajów ludowych (nawet z czasów pogańskich), na które możemy wskazać w Kościele Rzymskokatolickim. Jeden i drugi Kościół poszedł w tym wypadku za nawykami ludzi, adoptował ich przyzwyczajenia i uznał za swoje. To nie są sprawy istotne dla religii i dla Kościoła, jest to dziedzictwo po dawnej przeszłości, ustępstwo na rzecz przyzwyczajenia ludzkich, a niekiedy nawet — na rzecz słabości ludzkiej. Rzeczy nieistotne, na które możemy patrzeć z przyzwyczajeniem oka. Niedobrze się zaczyna dziać wtedy, gdy te rzeczy nieistotne zaczynają przesłaniać sprawy zasadnicze, gdy obyczaje i obrzędy przesłaniają istotne treści, gdy ceremoniał zewnętrzny zabija ducha.

Zapytuje Pan ironicznie „jak z dochodów — co łaska — można utrzymać żonę i dzieci”? Można by prawie zaryzykować zakład, że duchowny, który okazuje bezinteresowność, może liczyć na większe dochody niż ten, który za każdą przysługę wyznacza określoną takse. Jeszcze żaden duchowny w Polsce z głodu nie przymierał i nie przymiera, nawet wtedy, gdy całkowicie zda się na ofiarność swych wiernych.



Pani Alina H. z Gdańska. Prosimy o skierowanie swoich przepowiedni eschatologicznych pod adresem innych pism katolickich, a nas zostawić w spokoju. Na prywatną wymianę listów z Panią Redakcja nie ma czasu, zwłaszcza, że Pani z góry nas zapewnia, że „się nie zdoła z nami dogadać” co do rzekomo nadchodzącej gwałtownie zagłady świata. Pozdrawiamy.



Pani H. Kłapa — Dziękujemy za notatki dot. śp. Jana Wiktora i za cenne uwagi.



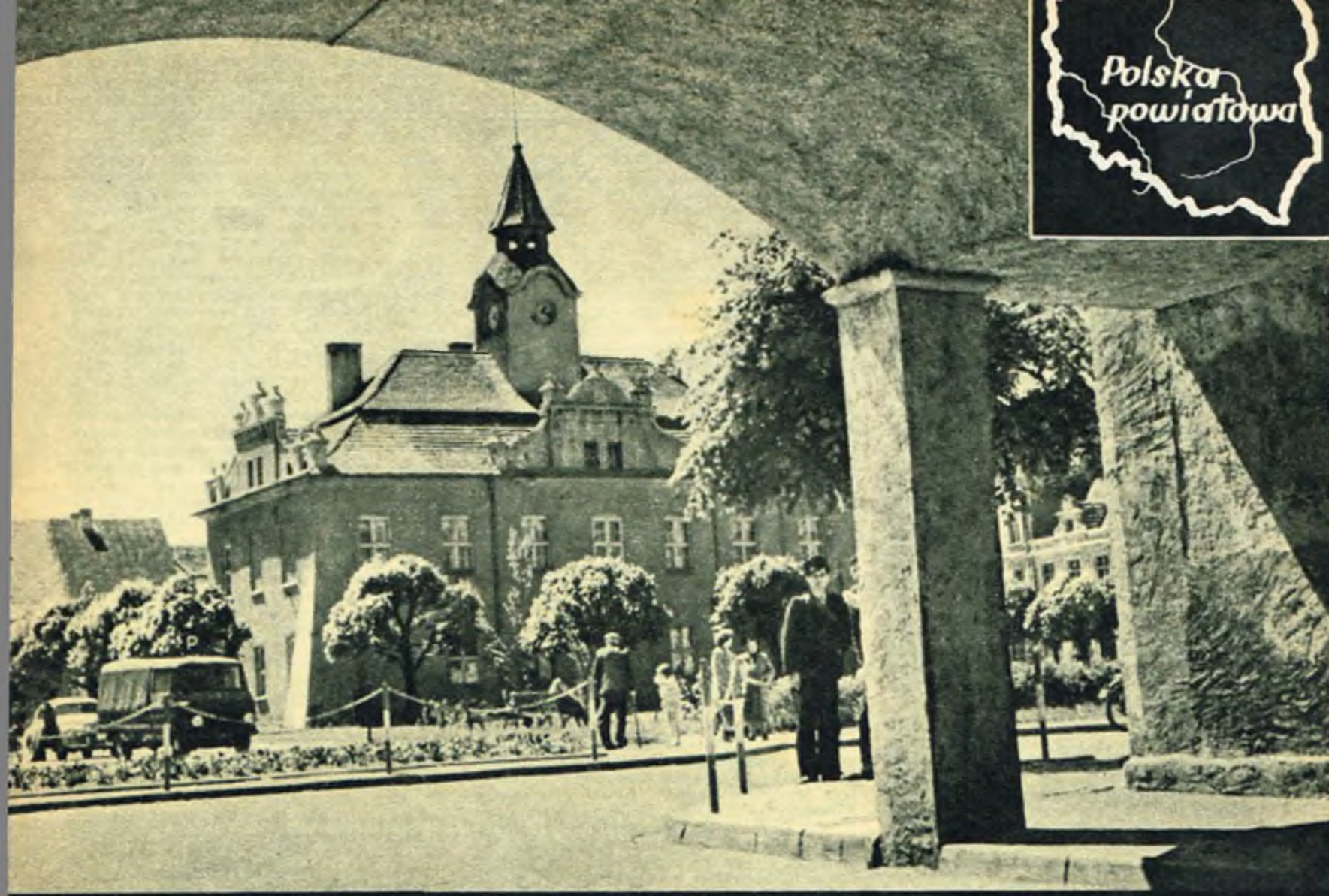
Czytelnik z Łodzi — Organizatorem Kościoła Polskokatolickiego był ks. bp. F. Hodur, o czym mógł się Pan już dawno dowiedzieć, jeśli czytuje Pan prasę tego Kościoła.

Kościół Polskokatolicki istnieje ponadto w USA i w Kanadzie.

Odpowiedzi na inne pytania zajęłyby zbyt wiele miejsca. Niektóre (diecezje-diekanaty-parafie) może Pan znaleźć w Kalendarzu Katolickim na rok 1965, inne w Kalendarzu Katolickim na rok 1967. Będą one również omawiane na łamach prasy Kościoła Polskokatolickiego.

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 29-97-84; 29-26-43. Warunki prenumeraty: Prenumerata na kraj; przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 36 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumerata za granicą, która jest o 40% droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 75, 19,70 DM, 23,40 NF; 1,13,6 £; dla St. Zjednoczonych i Kanady 75; dla Australii 2,10,5 £A, 20,4 £E). Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto Instytutu Wydawniczego „Odrodzenie” PKO Nr 1-14-147290. Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.

Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Zam. 557. T-35



Ratusz



Działdowo — widok ogólny



Fragment Rynku



DZIAŁDOWO

Miasteczko ani brzydkie, ani ładne, położone nad rzeką Działdówką. Jest siedzibą powiatu i ważnym węzłem kolejowym. Krzyżują się tu szlaki kolejowe z Warszawy, Gdańska, Olsztyna. Miasteczko ma około 8 tys. mieszkańców. Nie wielki przemysł terenowy, huta szkła, kilka szkół i dwa domy kultury. Historia miasteczka sięga odległych czasów, kiedy Mazowszanie z brzegów Wisły, przemieszczali się dalej na północ i osiedlali się na terenach zamieszkałych przez Prusów. W Działdowie Krzyżacy wybudowali zamek, który dał początek miastu. Prawa miejskie Działdowo uzyskało w 1344 roku, stając się siedzibą fundatora krzyżackiego a potem wójta.

Miasto z racji swego położenia na pograniczu ziem zagarniętych przez Krzyżaków, Litwę i Polskę, często narażone było na zniszczenia. Pierwszy raz Działdowo zostało prawie doszczętnie zniszczone przez wojska Wielkiego Księcia Litewskiego Witolda w r. 1409, na krótko przed słynną bitwą pod Grunwaldem. Przez krótki okres, za panowania Jagielly, miasto należało do Polski, a po Pokoju Toruńskim w r. 1466 ponownie dostało się pod panowanie Krzyżaków. Ostatecznie na stałe wróciło do Polski w 1920 r. W czasie II wojny światowej włączono je do Rzeszy i administracyjnie Działdowo należało do tzw. regencji olsztyńskiej.

W latach wojny budziło grozę, założonym przez hitlerowców w dawnych polskich koszarach, obozem zagłady.

Okoliczne piękne lasy kryły prochy ofiar mordowanych w obozie działdowskim. Od roku 1939 do 1940 rozstrzelano tu i zamordowano około 1500 więźniów, a przez obóz przewinęło się około 20.000 osób, w większości mieszkańców okolicznych miasteczek i wsi.

Wojna zniszczyła bardzo miasto. Ofiarnym wysiłkiem społeczeństwa i dzięki pomocy państwa, Działdowo zostało obudowane i dziś tętni życiem.

Duże tradycje kulturalne miasteczka są pozytywnym elementem codziennego życia mieszkańców. Warto dodać, że np. w eliminacjach do XIII Konkursu Recytatorskiego w Działdowie brało udział 180 osób, a w ogólnopolskim konkursie wykonawców piosenki radzieckiej w Łodzi wystąpiła także reprezentantka Działdowa.

W obozie działdowskim zginął najstarszy z biskupów rzymskokatolickich — ks. bp Nowowiejski.

Fot. J. Tarań

J.Ch.



Ratusz